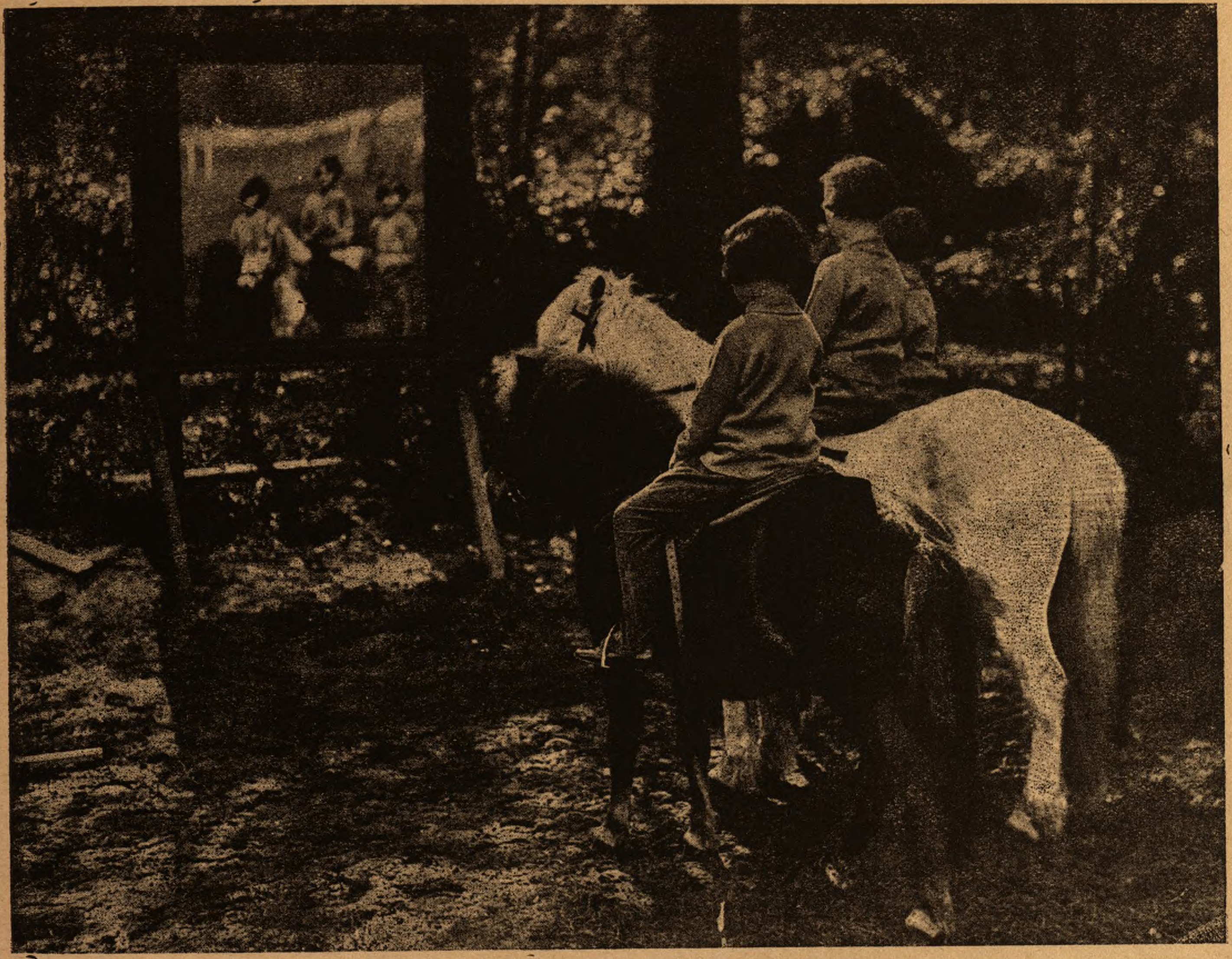
RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



MŁODZIEŻ ANGIELSKA UCZY SIĘ JAZDY KONNEJ.

WARSZAWA

ROK VIII — SIERPIEŃ—1934

TEATR KAMERALNY — NA POWODZIAN.

Teatr Kameralny, pragnąc się przyczynić skromną pomocą dla nieszczęśliwych ofiar powodzi w Małopolsce, przeznaczył na ten cel 5 proc. dochodu z przedstawień w Teatrze Kameralnym od soboty dnia 21 b. m. do dnia 4 sierpnia b. r.

Ciesząca się wciąż niesłabnącem powodzeniem — najlepsza sztuka znanego pisarza, Wacława Grubińskiego, p. t. „KOCHANKOWIE" — grana jest codziennie przy zapełnionej widowni. Piękne nastrojowe wnętrza dała p. I. Lorentowicz-Karwowska, znana artystka-malarka. — Nadmienić należy i przypomnieć, że sala TEATRU KAMERALNETGO to jedna z najchłodniejszych widowni w czasie upałów.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 1/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank. 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł; **KWARTALNA** — 2.00 zł. Cena **POJEDYŃCZEGO** nru. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak.-Przedmieście 71.
Telefon: 240-15 P. K. O. 14-664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK VIII. WARSZAWA, SIERPIEŃ 1934.



P. NINA ŚWIERCZEWSKA

FRONTEM DO MORZA

„Każdemu narodowi więcej na morskiem państwie zależy, niźli na ziemskiem. Bo kto ma państwo morskie, a nie używa go, albo da sobie wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się staje, z bogatego ubogim".

W połowie XVI wieku rozlegały się w Polsce te słowa, padły one z ust wybitnego męża stanu, arcybiskupa Dymitra Solikowskiego. Cytowane były odtąd — w ostatnich zwłaszcza czasach — wielokrotnie, bo nie straciły nic na swej aktualności, a prawdziwość potwierdziły na przestrzeni wieków polityka i ekonomika wszystkich państw i narodów.

W momencie jednak, w którym zostały wypowiedziane, przeminęły bez echa. W zaraniu dziejów ekspansja pierwszych Piastowiczów szła z biegiem Wisły i Odry ku morzu, wśród ciągłych ciężkich walk z żywiołem niemieckim i plemionami pruskiemi. Pomorze gdańskie już w roku 994 należy do Polski. Utracone z początkiem XIV wieku na rzecz zakonu krzyżackiego, powraca pod władanie Polski w pokoju toruńskim, w roku 1466 i aż do czasów rozbiorów wchodzi odtąd stale w skład ziem Rzeczypospolitej.

Przewrót gospodarczy, jaki w skali światowej dokonał się w wieku XVI, wydźwiga szybko Gdańsk do rzędu jednego z największych portów świata i czyni Polskę na szereg dziesiątków lat śpichlerzem Europy. Jarmarki gdańskie, rozpoczynane rokrocznie w sierpniu, w dzień św. Dominika, gromadziły w porcie po kilkaset obcych okrętów, pełnych słodkich win hiszpańskich, owoców Portugalji, jedwabi francuskich, sukna Anglji, ryb duńskich, szwedzkiej rudy żelaznej. Wracały do swych krajów wyładowane polską pszenicą i drzewem budulcowem. Popłynęło szeroką strugą złoto po Polsce. Szlachta zajęta spławaniem zboża Wisłą do Gdańka, bogaci się, odzwyczaja od rzemiosła wojennego, pogrąża się sennie w dobrobycie. „W Polsce jeno kupcy a rataje" — narzekał już Kochanowski.

Nie szło, niestety, w parze z tym rozkwitem gospodarczym, spowodowanym przez nieskrępowany niczem dostęp do Bałtyku, — zrozumienie, czem jest własny, dostatecznie obronny brzeg morski. Głos Dymitra Solikowskiego był odosobniony. Szlachcic polski chętnie widział w kupcu gdańskim wygodnego pośrednika w wymianie towarów, ale też powtarzał za Klonowiczem: „Może nie wiedzieć Polak, co to morze, gdy pilnie orze", albo żartował: „Dosyć posiadać tyle morza, iżby koń mógł się skąpać, a nie utonąć". Polityka państwowa, zgodna z tą przeciętną opinją, zaniedbała w zupełności zagadnienie Bałtyku i ustąpić rychło musiała zjawiającym się nowym potencjom: Moskwie i Szwecji. Pięknym tylko epizodem pozostało zwycięstwo zaimprowizowanej „armady" polskiej pod Oliwą. W niwecz poszły dalekowzroczne, lecz spóźnione już plany Władysława IV, budującego obok Pucka bazę operacyjną dla marynarki wojennej, wznoszącego dwa forty warowne na mierzei Helu...

Polska odrodzona z całą konsekwencją i wytrwałym uporem naprawia błędy przeszłości. Odzyskaliśmy w chwili powstania do niepodległości bytu niewielki skrawek wybrzeża, niemal pustać z małą przystanią, leżącą na uboczu od wielkich szlaków komunikacyjnych, w głębi zamulonej zatoki Puckiej, z prymitywną przystanią dla kutrów rybackich, położoną na końcu półwyspu helskiego. Dziś Gdynia należy do czołowych portów Bałtyku, obsługując nietylko polskie zaplecze, ale odgrywa niepoślednią rolę w międzynarodowej wymianie towarów. Polska flota wojenna stoi na straży naszego okna na świat. Brzeg polskiego Bałtyku stał się dumą i ukochaniem całego społeczeństwa, zrósł się już nierozerwalnie z Macierzą.

Nie wolno nam ustawać w pół drogi. Zadania leżą przed nami jeszcze ogromne. Spełnić je muszą w zgodnym wysiłku państwo i społeczeństwo. Troska o odpowiednią rozbudowę floty wojennej, poręczającej nam posiadanie i niezmąconą eksploatację wybrzeża, wysuwa się tu na czoło zagadnień. Całe społeczeństwo musi dopomóc w tem wielkiem dziele, musi wykrzesać z siebie cały entuzjazm i twórczy wysiłek.

W dniu „święta morza", potężnej manifestacji narodowej, organizowanej w całym kraju przez Ligę Morską i Kolonjalną, każdy obywatel Rzeczypospolitej, składając ofiarę na Fundusz Obrony Morskiej, przyczynia się do wzmocnienia naszej siły zbrojnej na morzu. Ale nietylko w dnie świąteczne, lecz i w codziennym trudzie wyznawać i realizować musimy hasło: „Każdemu narodowi więcej na morskiem państwie zależy, niźli na ziemskiem"!

Aleksander Rutkowski.



Żniwa się zaczęły...

ROMANOS...

ZBAWICIELOWI ŚWIATA

(Poeta bizantyński w VI).

Zbawiciela Chrystusa uczcijmy!
Hołd, o wierni, niech każdy Mu złoży!
On miłośnik i Pan nasz uprzejmy
i jedyny od wieków Syn Boży!

Wszak aniołów śpiewają Mu szyki,
bezcieleśni Go wielbią duchowie:
ognistemi wołając języki,
w trzykroć-świętej bratają się mowie.

W triumfalnej bratając się pieśni,
co trzykrotna jest wraz i jedyna,
wysławiając rozgłośnie, współcześnie
Boga-Ojca i Ducha i Syna.

W trzech osobach się Bóstwo wyraża,
przecież jeden jest Bóg nierozdzielny.
Oną moc nadziemskiego Mocarza
czcić powinien twór każdy śmiertelny.

Matko Boża, Dziewico, Królowo!
nie opuszczaj nas — rabów ubogich —
wśród tych burz, co nam wiszą nad głową,
wśród drapieżców przemożnych i srogich!

Gołębico Ty, Duchem złocista!
Pani wyższa od potęg i Mocy!
Apostołów Tyś chluba! Tyś przystań,
gdzie dążyli Wyznawcy, Prorocy!

Tyś jest świata całego ratunkiem,
rajem, grodem o dwunastu bramach,
zacną wieżą ze złotym rynsztunkiem,
wonną czarą duchowych balsamów.

Tyś jest szaniec i mur niezwalczony,
tyś przedmurzem jest wiernym mocarzy,
dusz pobożnych tyś boską obroną,
ciał niewinnych tyś mocą i strażą!

Przeto wielbim cię, Pani bez plamy!
Twego Syna i Pana błagamy,
byśmy w strasznym dniu sądu nie sczeźli,
ale łaskę i litość znaleźli!

Wtedy ratuj mnie, ratuj, o Chryste!
Miłośniku dusz ludzkich i Panie!
Z toni piekła mnie wybaw ognistej,
Niech mnie szatan w swą moc nie dostanie!

Niech demonów nie będzie to chwałą,
iż mnie podszept ich niecny omamił,
żem pokalał i duszę i ciało
i w mem życiu wciąż grzechem się plamił!

Nie wiem, nie wiem, co pocznę nieszczęsny!
A więc krzykiem spowiadam się jawnym:
idę z prośbą, jak syn marnotrawny,
z Magdaleną łzy leję — łzy rzęsne!

Panie! Panie! Ty zbaw mnie z czeluści!
Nie daj w grzechów zatonąć mi bagnie!
Nie chciej, Dobry Pasterzu, dopuścić,
by nad przepaść zbłądziło Twe jagnię!

Racz mnie z ciżby mych cierpień wydostać,
boskiem światłem oczyszczaj sumienie,
bym oglądać mógł boską Twą postać
i wyśpiewać Ci pieśń uwielbienia

Tobie chwała należy się przecie,
Bogu-Ojcu, Synowi, Duchowi,
od wszelkiego stworzenia na świecie
na wiek wieków... o Panie łaskawy!

Przełożył Józef Birkenmajer.

BROŃMY NASZEGO MORZA

Cała Polska — jak długa i szeroka — rozumie już, że dalszy jej byt i dobrobyt od morza zależy. Tędy wiedzie droga w świat dla produktów, pracy polskiego inżyniera, przemysłowca, rzemieślnika czy robotnika, — tędy przybywają potrzebne nam surowce i towary. Bez morza niemasz prawdziwej wolności — jak to jeszcze w XVII wieku rozumni Polacy pisali.

Jednakże zasadniczym błędem, popełnianym przez nas często, jest przy wysuwaniu na pierwszy plan działalności morsko-gospodarczej, zupełne pomijanie spraw z obroną morza związanych. Świadczy to wprawdzie bardzo chlubnie o naszej miłości pokoju i chęci współpracy z sąsiadami, ale dowodzi też z drugiej strony daleko idącej lekkomyślności. Naród rozbrojony to wszak w dzisiejszej dobie bynajmniej nie przykład godny naśladowania — a tylko gratka dla zaborczo usposobionego napastnika.

Wielu ludziom w Polsce wydaje się, że marynarka wojenna służy do obrony wybrzeży. A że wybrzeży tych mamy mało, więc zasadniczo siła zbrojna na morzu jest nam niepotrzebna, względnie potrzebna w bardzo małym zakresie.

W twierdzeniu tem tkwi wielki błąd. Po pierwsze marynarka broni nietylko wybrzeży, ale broni właśnie całego kraju, narówni z armją lądową. Broni ona dróg komunikacyjnych, których przecięcie grozi klęską państwu i narodowi. Jest ono bowiem niczem innem jak ofensywą strategiczną na środki egzystencji danego kraju, ofensywą, dążącą do wygłodzenia narodu i pozbawienia go możności prowadzenia wojny obronnej. Kraj, który dopuści do przecięcia swoich komunikacyj morskich, może się zgóry uważać za zwyciężony.

Długość wybrzeża nigdy sama nie stanowiła o sile floty i jej składzie taktycznym. Gdyby tak było, państwo takie jak Norwegja musiałoby mieć flotę conajmniej równą francuskiej, a znacznie silniejszą od niemieckiej. Natomiast Rosja sowiecka mogłaby się wyrzec niemal zupełnie floty bałtyckiej. Jeśli tak nie jest, to dlatego, że nie długość wybrzeża, ale konjunktura polityczna, ale znaczenie jakie wybrzeże to dla kraju i jego bezpieczeństwa posiada grają tu główną rolę, nie zaś prosta cyfra kilometrów wybrzeże to reprezentujących. Małe wybrzeże dla wielkiego jak Polska kraju, posiada stokroć większą wartość, niż wielkie wybrzeże dla innego. Tędy bowiem Polska oddycha, tędy soki żywotne ciągnie. Im krótsza linja brzegowa, im mniej na niej portów, — tem więcej wzrasta wybrzeża tego znaczenie, tem czujniejszej wymaga straży.

Wybrzeża nie można też porównywać do granicy lądowej, a tembardziej do frontu strategicznego, którego wojsko lądowe bronić musi. Nie chodzi bowiem tylko o utrzymanie wybrzeża w swoim ręku i odparcie nań najazdu nieprzyjaciela, ale o utrzymanie otworem bramy w świat, o swobodę komunikacyj morskich. Aby to osiągnąć, trzeba wypłynąć w dal — a do tego potrzebna jest właśnie flota wojenna.

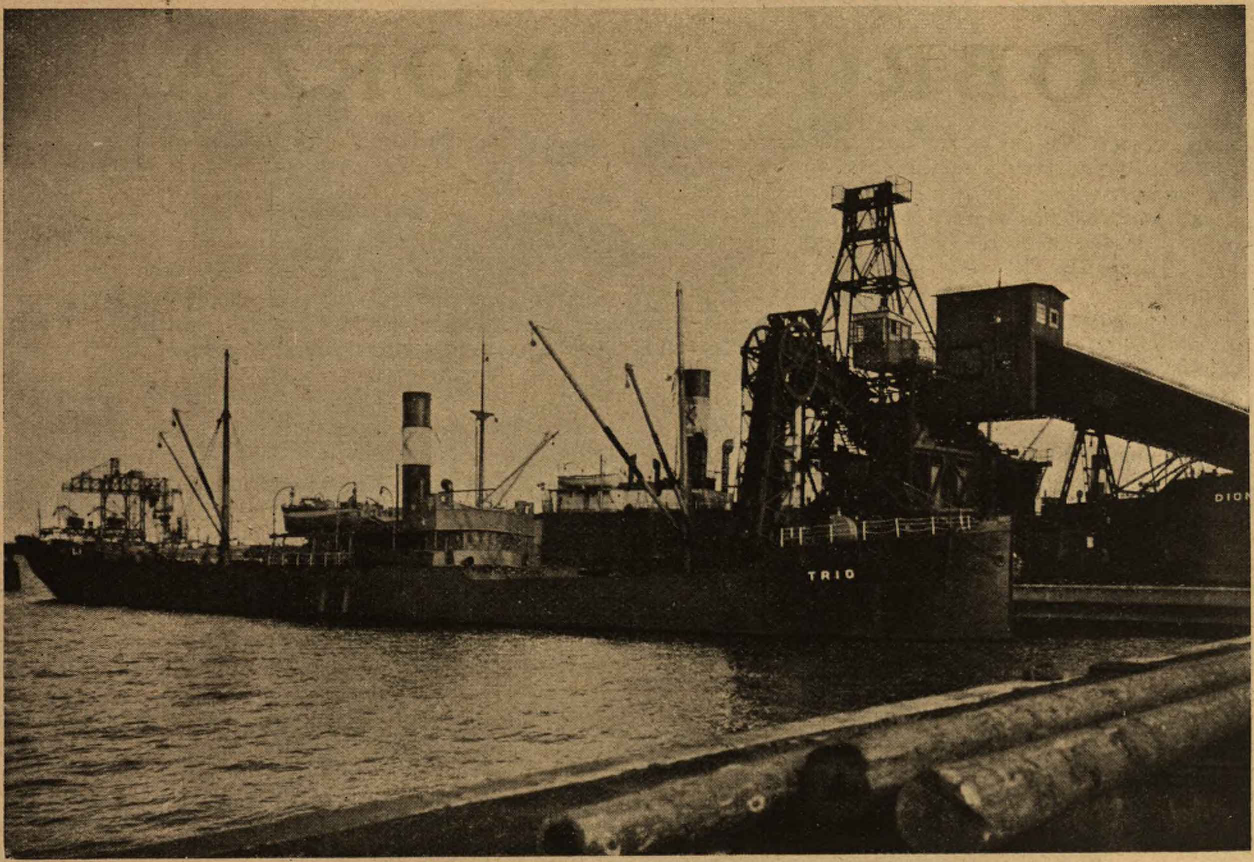
Wybrzeże i porty posiadają o tyle znaczenie, o ile są właśnie tą bramą, przez którą okręty swobodnie wypływać — inne zaś wpływać mogą. Twierdze nadbrzeżne czy małe okręty obrony wybrzeży tego celu wywalczyć i zabezpieczyć nie zdołają. Najpotężniejsze baterje, najliczniej rozsiane miny — mogą wprawdzie trzymać przeciwnika zdala od brzegu, — ale nie potrafią wyprowadzić na morze czy doprowadzić do portu ani jednego okrętu z niezbędnemi surowcami czy towarami, z materjałem wojennym czy artykułami pierwszej potrzeby. A przecież wojna jest dziś obliczona raczej na zużycie ekonomiczne.

Chodzi więc nie o obronę wybrzeża z tegoż wybrzeża, ale o zabezpieczenie przy pomocy floty naszych dróg komunikacyjnych — chodzi o naszą wolność morską. Tak jak wojsko lądowe nie broni samego handlu czy przemysłu, ale całego państwa i narodu, aż do ostatniego obywatela — tak samo marynarka wojenna nie jest stworzona dla obrony skrawka wybrzeża, czy marynarki handlowej, a nawet kolonij zamorskich. Zadaniem jej zapewnić krajowi bezpieczeństwo i swobodę, łączność ze światem i ze sprzymierzeńcami. Obojętnem jest wówczas czy na końcu szlaku morskiego leżą własne kolonje czy obce kraje — grunt, aby szlak ten wolnym pozostał. Bo od tego zależy dalszy los nietylko armji lądowej, ale też właśnie całego kraju, znów aż do ostatniego obywatela.

Aby zaś flota wojenna mogła nam ową nieocenioną wolność morską zapewnić, aby samą swą obecnością stała się hamulcem wrogich zakusów, a zatem gwarancją pokoju — musi być ona odpowiednio silna. Nie znaczy to, aby musiała być koniecznie większa od floty któregoś z państw sąsiednich. Ale składem swym i sprawnością bojową przedstawiać musi zorganizowaną i poważną siłę. Ludzie bez okrętów niczego tu nie wskórają, aleć znów walczą nie okręty, lecz ludzie. Toteż nawet nieliczna, ale dobrze wyszkolona i ufna w powodzenie dobrej sprawy flota — potrafi cudów dokonać. A już w czasie pokoju staje się ona potężnem narzędziem w rękach świadomych jej wartości polityków, — staje się najwidoczniejszym czynnikiem siły i suwerenności, korzystnych przymierzy, najlepszym środkiem do walki z bezrobociem, stąd zaś czynnikiem pokoju i dobrobytu. I właśnie — nie dopiero bogate kraje zdobywały się na stworzenie marynarki wojennej, a wręcz przeciwnie, biedne, tworząc siłę zbrojną na morzu, szybko się bogaciły. Te zaś, które swego państwa morskiego bronić zaniedbały — ginęły bez ratunku. A więc posiadanie silnej floty wojennej nie jest w Polsce zagadnieniem wyłącznie wojskowem, ale narodowem — obchodzącem żywo każdego obywatela. Stworzenie takiej floty nie leży wcale poza możliwościami 33 miljonowego narodu. Wystarczy świadomość potrzeby i chęć czynu. Fundusz Obrony Morskiej ma być chęci tej i świadomości sprawdzianem. A dzień święta morza — dniem nie pustych haseł, ale twórczego czynu.

Niema Polski bez morza, a niema morza bez floty wojennej — oto prawda, którą każdy obywatel rozumieć powinien.

Inż. Juljan Ginsbert.



Gdynia. — Pogłębianie portu.

KLĘKAM PRZED TOBĄ PANIE...

Klękam przed Tobą, Panie, na kolana.
Wielbić Cię pragnę w ciszy i pokorze —
— Pierś się podnosi radością wezbrana:
Bądź pochwalony miłościwy Boże.
O nic, o Panie, nie błagam dla siebie,
Ale za wszystko dziękuję serdecznie;
Serce z wdzięcznością uderza do Ciebie
I Twoją dobroć pragnie wielbić wiecznie:
Żeś mnie obdarzył rozumem i mową,
Żeś mnie i ciało i zmysły dał zdrowe,
Że patrzyć mogę na świat pełen wdzięku
I słyszę tonów prześliczną harmonję
I barwnych kwiatów cudne czuję wonie.
Że kształt rozróżniam swojem czuciem w ręku,
Że zdrowy jestem i pracować mogę,
Że ani razu nie zaznałem głodu
I nigdy jeszcze nie cierpiałem chłodu.
Że pokazałeś nam wieczność i drogę,
Że wszystko co mam, to jest z Twojej ręki —
— O, dzięki Panie, za wszystko Ci dzięki.

Gracjan Pyrek jr.

„PAN TADEUSZ"

Zdjęłam z półki książeczkę w zniszczonej oprawie.
Kartki nieco pożółkłe, drobniutkie litery —
ileż wzruszeń przynoszą i zachwyceń szczerych
i wrażeń niezatartych, przeżytych na jawie!

Z tkliwością dawnych druhów i znajomych witam!
Tu Wojski, na tej stronie Gerwazy, tam Robak.
I ten opis przyrody, co tak się podobał,
gdy w młodem sercu zapał najpierwszy zakwitał...

Zakreślone wyjątki, najmilsze stronice,
gdzie rym jeden wystarczy, aby się przekonać,
że dalsze tkwią w pamięci, choć czasu zasłona
nową myślą stłumiła czar dawnych zachwyceń...

Dzisiejsza młodzież czyta i patrzy inaczej.
Lecz, choć wiek nas oddziela od mistrza natchnienia,
siła prawdy i piękna zawsze opromienia,
te obrazy, z tęsknoty wyrosłe tułaczej.

Alina Kwiecińska.

NENUFARY

Na tackach z liści nenufary
podają biało-złote czary,
lecz żeby je pochwycić w dłonie,
potrzeba stawu przebyć tonie.

W nadziei słońca szczęście błyska.
Lecz, żeby je oglądać zbliska,
trzeba po cierpień dążyć grudzie,
potrzeba je zdobywać w trudzie.

Alina Kwiecińska.

WIATR WIOSENNY

Powiało nagle fiołkami
skroś słońca świetlistych smug...
Powietrze wdycham haustami,
chcę szczęścia przestąpić próg!
Nadzieja wzrasta tęczami,
rwie serce w rozgłośny stuk!
Powiało nagle fiołkami,
świat mi się skłonił do nóg.

Alina Kwiecińska.

OBRONA MORZA

Polska weszła już na lądzie do rzędu wielkich mocarstw, zajmując pod względem obszaru, liczby ludności, znaczenia politycznego i siły armji szóste miejsce w Europie, zaraz po Włoszech i przed Hiszpanją. Ale na morzu państwo nasze pozostaje daleko w tyle nietylko za Włochami i Hiszpanją, ale też za Holandją, Szwecją, Norwegją, Finlandją; a może nawet za Jugosławją i Estonją. Wszystkie te państwa mają już utrwaloną pozycję na morzu: posiadają już ufortyfikowane wybrzeża, urządzone porty, dobrze zaopatrzoną flotę wojenną i marynarkę handlową mogącą utrzymać komunikację z najdalszemi częściami świata.

Polska opóźniła się w tym względzie: zrazu z własnej winy, później nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności została odsunięta od morza i skierowana w swej ekspansji ku wnętrzu lądu. Statyści polscy, z małemi wyjątkami nie doceniali znaczenia morza, wyższe warstwy narodu, kierujące polityką, zaniedbały tę sprawę, a jednostki wyjątkowe, poszukujące przygód morskich, żądne odkrycia i poznania nowych ziem, oddały swe siły i zdolności na usługi obcym. Polska racja stanu, polska ideologja, wyrażająca się w poezji, w powieści, w sztuce, pamiętała o Litwie, o Ukrainie, o Podolu ale o morzu polskiem zapomniała. I jak po zniemczeniu książąt panujących na Śląsku i idącej za nimi szlachty, tylko prosty lud zachował nieprzebrane skarby podziemne węgla dla Polski, tak samo tylko wierności Kaszubów dla starodawnej mowy polskiej zawdzięcza wybrzeże Bałtyku powrót swój do Macierzy.

To cudowne ocalenie naszego morza musi olśnić i nawrócić Polaków ze złej drogi, musi skierować nasze siły twórcze, naszą energję narodową, nasz patrjotyzm — ku morzu, dającemu wylot w świat szeroki, otwierającemu perspektywy oceaniczne i kolonjalne, niezbędne dla duszącego się w zamkniętych granicach państwowych szybko rozrastającego się narodu.

Niestety, wąskie 75-kilometrowe wybrzeże które się nam dostało, z trudem tylko podołać może swemu zadaniu w 33 miljonowem państwie. Tem więcej musimy je ocenić i tembardziej rozwijać. Szczupłość geograficzną trzeba zrekompensować intensywną eksploatacją.

Jest to prawda nietylko wyznawana teoretycznie, lecz wcielana już w życie.

Wybrzeże Bałtyku, przyznane Polsce traktatem wersalskim zmieniło się od tego czasu niedopoznania. Stanowiło ono pod zaborem pruskim smutne i puste wydmy piaszczyste, których jedyną ozdobą był Gdańsk, piękny starą architekturą, i obumarły w dumnych wspomnieniach z czasów polskich: kwitł on wtedy, jako największy port Rzeczypospolitej, ku któremu Wisłą spływały jej rolne i leśne bogactwa; rozsadzała go pycha do tego stopnia, że buntował się przeciwko swej żywicielce. W zwadzie jednak, czy w wiernej przyjaźni z Polską, żył on dostatnio, bujnie, szczęśliwie.

Pod panowaniem pruskiem spadł Gdańsk do rangi portów trzeciorzędnych, zajmujących w 1913 roku co do tonnażu okrętów, które go odwiedziły — 13 miejsce na Bałtyku. Dopiero Polska Niepodległa podźwignęła go z tego upadku. W roku 1929 zajął już trzecie miejsce (po Kopenhadze i Stockholmie), podnosząc swój roczny obrót towarowy z 2 112 milj. tonn do 8 560 milj. tonn, czyli czterokrotnie, a dzisiaj dalej posunął się naprzód, chociaż wszystkie porty wskutek kryzysu wykazują mniejszy obrót.

Ten niesłychanie szybki rozwój Gdańska nie był nawet hamowany powstaniem tuż obok niego drugiego portu — Gdyni; w miejscu, gdzie przed 10-ciu laty istniało zaledwie kilkanaście chatek rybackich, teraz wznosi się 50-tysięczne miasto i jak najbardziej nowoczesny port którego obrót towarowy w 1932 roku wyniósł ponad 6 milionów tonn, który pod względem tonnażu statków prześcignął już Gdańsk i Stockholm.

Niedość tego: rozszerzono i zmodernizowano rzeczny port pomocniczy w Tczewie, pogłębiono stary port w Pucku, dostosowując go do potrzeb kutrów, wybudowano przystanie rybackie w zatoce na pełnem morzu; zapoczątkowano dalekomorskie rybołówstwo polskie na morzu Północnem.

Przez wprowadzenie tej nowej gałęzi przemysłu morskiego, przez umożliwienie rybakom kaszubskim ekspedycyj na dalekie morze, dających nieporównanie większe rezultaty od połowów przybrzeżnych — podniesiono dobrobyt ludności nadmorskiej, ledwie wegetującej w czasach zaborczych. Przyczynili się też do tego letnicy. Dawniej, poza Sopotami, zaledwie Puck i Hel ściągały na lato po kilkanaście rodzin. Dziś cały brzeg Małego i Wielkiego Morza polskiego stanowi nieprzerwaną linję plaż, usianą gustownemi willami, wielkiemi hotelami wspaniałemi sanatorjami i schludnemi przebudowanemi i uporządkowanemi domami rybaków, oddanemi na cały sezon letnikom. Przepyszna autostrada łączy miejscowości, do których dawniej tylko łódką można się było dostać. Rzucona w morze klinga Helu staje się jedynym w świecie parkiem nadmorskim — olbrzymim bulwarem. Wszędzie panuje ruch, wre praca, kipi życie. Puste przed wojną wybrzeże kaszubskie, piaszczyste, smutne i biedne, z roku na rok nabiera barwy i okazałości. Stanowi to najwymowniejszy, nieodparty argument, jak Polsce morze jest potrzebne i jak je ona umie zużytkować. To dopiero początek — pierwsze 10-lecie naszej gospodarki nad Bałtykiem. Czeka nas jeszcze dalsza praca: po uporządkowaniu i doprowadzeniu do stanu używalności gospodarczej wybrzeża, musimy zaludnić okrętami samo morze. Nasza flota handlowa i wojenna znajduje się dopiero w zalążku. Cztery przedsiębiorstwa żeglugowe, trzy parowce transatlantyckie, trzydzieści mniejszych statków towarowo-pasażerskich o łącznym tonnażu 60 tysięcy — oto cała nasza flota handlowa. O jej niedostateczności świadczy fakt, że zaledwie 7 i pół procent obrotów towarowych portów polskich odbywa się pod naszą banderą.

To samo dotyczy marynarki wojennej: składa się ona zaledwie z 2 kontrtorpedowców i 3 łodzi podwodnych nowego typu oraz kilku starych poniemieckich torpedowców, kilkunastu monitorów i innych jednostek pomocniczych niemogących zapewnić bezpieczeństwa nawet bardzo niewielkim wybrzeżom. Dla skutecznej ich obrony potrzeba przynajmniej paru linjowych i kilku lekkich krążowników, czterokrotnie większej od posiadanej ilości łodzi podwodnych i kontrtorpedowców, oraz 2 stawiacze min, ogółem 60—80 tysięcy tonn, nie licząc okrętów pomocniczych. Jest to program minimalny, którego wykonanie powinno nastąpić w ciągu najbliższych lat, a zacząć się bezzwłocznie. Od tego zależy bezpieczeństwo naszych wybrzeży i naszego dostępu do morza, bez którego nie może istnieć państwo polskie.

Zrozumienie konieczności dla nas posiadania morza pociąga za sobą świadomość potrzeby jego obrony.

Z tego powodu tegoroczne „święto morza”, będące wyrazem naszego uczuciowego stosunku do polskiego Bałtyku, połączono ze zbiórką na „Fundusz Obrony Morza”. Niedość jest bowiem żywić sentyment; trzeba umieć jeszcze przetopić go w czyn pozytywny. Tego wymaga od nas troska o przyszłość Polski.

W. Giełżyński.



Gdynia. Kościół na Grelówce. Fot. Olszewski.

POLAK WSPOMINA SŁOWACZYZNĘ

Nie trzeba mówić, że ludzie są obcy,
Jeżeli ich rozdzielą granice na mapie...
Wczoraj wróciłem zdala, z dalekiej podróży:
Pod powiekami ziemia jeszcze jest w galopie,
Jeszcze źrenice słońce roztańczone nuży,
I jacyś nieznajomi chłopcy
Łowią to słońce na zielonych łąkach
W siatki, i jak latawca wodzą po obłokach...

Przypominam — wczoraj nad Dunajem
Pokazano mi duszę innego narodu!..
Jestem człowiek zwyczajny, jestem sługa Boży,
Dusza moja przed pięknem pokornie się korzy...
W ziemi waszej, o bracia! z nad srebrnego Wagu
Dusza moja pokorą była i powagą.
Chodziła za mojemi oczyma w zachwycie —
(Tylko tyle jest warte przecież nasze życie,
Ile w niem jest zachwyceń) — chodziła, patrzała,
I w cichym rozmodleniu, jak w zorzach stawała...

Oto oczy przymykam i widzę — spod powiek
Rozsłonecznia się ziemia, w której z serca ludu,
Jak z kielicha w kościele, może obcy człowiek
Napić się wina; wino owe jest napojem cudów.
Napojony dobrocią i słowem miłości,
Chodziłem między wasze chłopy i poety,
I szczęście znajdowałem, że są ludzie prości
Tak jaśni, jak spojrzenie najczystszej kobiety...

Że jest słowiański naród, którego wieszczowie
Orzą ugór poezji z wieśniaków prostotą,
Że są jeszcze wieśniacy, jak bardzi — i dolę
Swą pieśnią czynią i poezji cnotę..
Że jeszcze na dolinach i górach tatrzańskich —
..Święci z drzewa, jak ludzie — pokorni i cisi...
Że w modlitwach Chrystusów czujne ucho słyszy
Przedwieczne, wiekowieczne legendy słowiańskie.

Pamiętam!... kiedy tylko przymknę ócz zasłony,
Widzę jak w Rużemberku, lub spod Mikulesza
Otwierają się domy, i pieśń mnie zaprasza —
Abym, jak brat, powrócił w południowe strony!
O!... Ziemio Słowacka, ziemio moich braci,
Zasłana kamiennemi grobami przeszłości,
Pachniesz i śpiewasz światu, — niech się świat bogaci
Skarbami nieprzebranej Twej cichej miłości!

Ziemio za Karpatami, tak, jak ma — rodzona,
Jesteś Bogu najbliższa, boś cicha, tęskniąca,
I tak jak u nas w Polsce, Bóg w swoje ramiona
Przygarnia co wieczoru zachodzące słońce.
I razem z niem przygarnia łaską dusze człecze,
Płynące w zachodzące za lasami zorze...
O Boże! daj im spokój, tym duszom człowieczym,
I szczęście ziemi owej, słowackiej, — daj Boże!

Ludomir Rubach.

INNY ŚWIAT

REPORTAŻ Z INSTYTUTU GŁUCHONIEMYCH I OCIEMNIAŁYCH.

Ciekawy, jakże odmienny od naszego, jak naprawdę godzien bliższego, głębszego poznania świat...

Świat głuchoniemych i ociemniałych.

Cóż o nim wiedzą szerokie masy społeczeństwa? Co wiemy o ich życiu, o możliwości ich pracy, o ich odrębnej zupełnie psychice, której nigdy na podstawie powierzchownej tylko obserwacji i z punktu widzenia naszej psychiki — nie będziemy w stanie zrozumieć.

A świat ten stanowi przecież dość liczną wysepkę, jak wykazuje bowiem statystyka, Polska posiada obecnie 42.500 głuchoniemych, — ociemniałych zaś przeszło 20 tysięcy.

Zarówno jedni jak drudzy boleśnie odczuwają brak zrozumienia i zainteresowania się ich losem ze strony ludzi „pełnozmysłowych", — to jakby wyłączenie poza nawias życia społecznego, do którego przecież mają takie same prawa.

Toteż z uznaniem podkreślić należy rozpoczętą przed paru laty akcję Państwowego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie, zmierzającą do bliższego zapoznania z tą instytucją i jej wychowankami szerszego ogółu społeczeństwa.

W porozumieniu z różnemi instytucjami społecznemi — dyrekcja organizuje co miesiąc wycieczki do Instytutu, podczas których uczestnicy mają możność zapoznać się z całokształtem pracy nad głuchoniemymi i ociemniałymi, z systemem nauczania i wychowania, obserwować na miejscu życie tej młodzieży etc.

Uczestnicy wycieczek stale podkreślają, iż zupełnie inaczej wyobrażali sobie świat głuchoniemych i ociemniałych, zamiast bowiem przygnębienia, smutku i niedoli, — ze zdziwieniem znaleźli tu dużo pogody, a nawet radości życia.

Innemi środkami, zmierzającemi do nawiązania kontaktu ze społeczeństwem są urządzane różne obchody, uroczystości, koncerty ociemniałych, wydawnictwa periodyczne „Gazetka Szkolna ociemniałych" i „Nasze Pisemko" głuchoniemych, które zawierają prace wychowanków, odbijane na powielaczu i broszurowane przez samą młodzież głuchoniemą, oraz cykl broszurek starannie wydanych przez „Bibljoteczkę Propagandową" Instytutu.

Tytuły tych książeczek mówią same za siebie „Głuchoniemi o sobie", — „Ociemniali o sobie", — jak również i zamieszczone na wstępie motto: „Poznaj świat głuchoniemych i ociemniałych".

Znajdujemy w nich wiele nowego i niezmiernie ciekawego materjału, który wzrusza nas i uderza swą bezpośredniością i oryginalnością.

Dla charakterystyki przytaczam wyjątki z prac tam zamieszczonych, oddając głos samym zainteresowanym:

„Na jednej z pogadanek — pisze ociemniały Feliks Woźniak — omawialiśmy ustosunkowanie się społeczeństwa do nas niewidomych. P. dyrektor Łopatto opowiadał nam, że kiedyś zapytano go czy niewidomy umie się sam ubrać? Słysząc to koledzy, poczęli się śmiać serdecznie, a ja pomyślałem: To jeszcze nic... zadawano mi bowiem jeszcze śmieszniejsze pytania. Jakiś jegomość, wdawszy się ze mną w pogawędkę, zapytał: „Kiedy pan odczuwa potrzebę snu"? Widząc moje zdziwienie, nad którem nie mogłem zapanować — dodał: „przecież pan nie odróżnia dnia od nocy, — więc nie wie pan kiedy pójść spać"?

Innym razem jakaś pani powiedziała do mnie: „Niewidomych trzeba pewnie karmić, bo zamiast do ust mogą trafić do nosa"?

Nie wszyscy jednakże uważają nas za tak wielkich niedołęgów. Są i tacy, którzy odwrotnie — przypisują nam jakieś nadprzyrodzone właściwości. Bardzo wiele osób twierdzi np., że dotykiem rozpoznajemy barwy, co zupełnie odbiega od rzeczywistości.

Kiedy pewnego razu czekałem z kolegą na tramwaj, — usłyszawszy nadjeżdżający wagon — powiedziałem: „Zero idzie" i rzeczywiście zgadłem. Ludzie stojący w pobliżu zaczęli się dziwić ogromnie: „Skąd on to wie — mówili, — on pewno udaje, że nie widzi". Znalazł się jednak mędrek, który rozwiązał tę zagadkę mówiąc z całym naciskiem i pewnością siebie: „Niewidomy po odgłosie dzwonka poznaje numer tramwaju".

Te śmieszne a zarazem i smutne fakty — świadczą o tem, jak mało nasze społeczeństwo nas zna i interesuje się nami. Dlatego też powstał projekt stworzenia pisma, któreby zainteresowało szerszy ogół i dało nam możność zbliżenia się do społeczeństwa widzących, czego tak bardzo pragniemy".

„Ludzie nie znający naszej psychiki — pisze Zofja Osidaczówna — uważają nas za jednostki nieszczęśliwe, godne pożałowania, wnoszące ze sobą smutek i przygnębienie, — dlatego też nie mogą wyobrazić sobie stałego z nami kontaktu. Czyż tak jest istotnie? Utrata wzroku nie jest powodem do pogrążania się w beznadziejnym smutku... My też możemy być weseli i wnosić ze sobą dobry humor, jako też radzić sobie doskonale w życiu, pomimo braku wzroku. W miejsce tego zmysłu — inne są bardziej udoskonalone niż u ludzi widzących.

My niewidomi umiemy wykonać powierzoną nam pracę dokładnie i systematycznie i zdajemy sobie doskonale sprawę z tego, że pracując w jakimkolwiek dostępnym nam zawodzie — musimy dorównać widzącym — podwajamy więc wysiłki, aby im sprostać. Wobec tego nie zasługujemy na litość i nie chcemy współczucia, — ale w miarę możności pomocy od osób widzących w zdobyciu pracy, gdyż w ten sposób możemy się stać pożytecznymi członkami społeczeństwa, ku swemu i społeczeństwa tegoż pożytkowi".

Ta sama szlachetna ambicja przebija też we wszystkich „wypowiedzeniach się" głuchoniemych o sobie. Oto np. w artykuliku p. t. „Jak sobie radzimy" — pisze W. Dobrowolski:

„Pomimo braku słuchu, jednak absolutna cisza dla nas nie istnieje. Siedząc w domu — wyczuwamy nerwami turkot wozów i tramwajów na ulicy, głośniejsze stukanie, trzaskanie drzwiami, czyjeś kroki w pokoju, chód maszyn w warsztacie gdzie pracujemy i t. p. Silniejsze odgłosy, poruszające wielkie masy powietrza, jak np. uderzenie piorunu, silne detonacje — odczuwać się da ją w odległości mniej więcej kilometra. Drganie kamertonu i instrumentów muzycznych wyczuwamy dotknięciem, jak również głos ludzki, gdy dotkniemy piersi mówiącego, choć nie rozróżniamy wyrazów mówionych.



Była taka piękna droga.

Zdolność wyczuwania tych odgłosów jest szeroko wykorzystana przez naszych nauczycieli przy nauce mowy, jak również jest nam bardzo pomocnem w życiu, pozwalając czasem uniknąć przykrych wypadków.

Wogóle istnieje dużo sposobów, ułatwiających nam współżycie ze społeczeństwem, lecz ludzie często nie starają się je poznać, czy zastosować, woląc trwać w uprzedzeniu do nas"...

Instytut posiada obecnie 293 wychowańców i wychowanek. Z tego w internacie zakładowym 144. Procentowo więcej jest głuchoniemych (około 75%) niż ociemniałych i więcej chłopców niż dziewcząt. Zakład przeznaczony jest raczej dla dzieci z prowincji, chociaż oczywiście uczą się tu i dzieci warszawskie. Dla głuchoniemych dzieci Warszawy istnieje jeszcze szkoła miejska przy ul. Hipotecznej (117 dzieci) oraz zakład specjalnie tylko dla dzieci żydowskich przy ul. Śliskiej 28.

Kurs nauk w Instytucie 8-letni odpowiada swym zakresem mniej więc 4 kl. szkoły powszechnej normalnej. Pozatem istnieją przy zakładzie warsztaty rzemieślnicze dla głuchoniemych: stolarski, krawiecki, szewcki, introligatorski, drukarnia, — a dla ociemniałych: koszykarski, szczotkarski i szkoła muzyczna.

Instytut posiada kaplicę, własny ogród, tereny sportowe, pomoc lekarską i opiekę religijną.

Wrażeniem dominującem nad wszystkiemi innemi, odniesionemi z wycieczki do Instytutu — jest uczucie głębokiego uznania dla pięknych metod wychowawczych tam stosowanych, które potrafiły w duszach swych wychowańców obudzić takie poczucie godności ludzkiej, które domaga się od społeczeństwa nie „wyrazów politowania i współczucia", ale tylko zrozumienia dla potrzeb, zachęty do wytrwania na trudnej drodze i szacunku, jaki się człowiekowi od człowieka należy.

Zofja Guzowska.

MORZE CZYNNIKIEM NIEZALEŻNOŚCI GOSPODARCZEJ

Przed paru tygodniami głośnem echem w całej środkowej Europie odbił się pozornie drobny fakt: do Budapesztu przybył drogą wodną transport węgla z polskiego Górnego Śląska. Fakt ten wszakże jest bardzo znamienny. Węgiel polski odbył olbrzymią drogę: ze Śląska do Gdyni, opłynął całą Europę i drogą rzeczną dostał się do stolicy Węgier. A przecież droga lądowa jest bez przesady kilkadziesiąt razy krótsza.

Faktów takich moglibyśmy mnożyć bez liku, nie tak już, być może, paradoksalnych, ale w każdymbądź razie charakterystycznych. Badając szlaki eksportu polskiego, z łatwością stwierdzimy, że eksporter nasz, względnie nabywca zagraniczny, wybierze drogę morską nietylko tam, gdzie niesposób dostać się lądem, lecz i w tych częstokroć wypadkach, gdzie istnieje utarta droga lądowa, krótsza od morskiej 5, 10 i więcej razy.

W ten sposób odrazu stykamy się z dwoma podstawowemi elementami handlu morskiego, idącego przez własny port; elementy te — to taniość i swoboda dyspozycji handlowej.

Moment taniości nie potrzebuje, zdaje się, wyjaśniania i uzasadniania. Transport morski jest tani, bo: nie wydaje się na utrzymanie drogi; możliwy jest naprawdę masowy przewóz; niższe koszty eksploatacji; prostsza i tańsza jest obsługa po drodze i t. d. i t. d.

Jeżeli chodzi o swobodę dyspozycji — moment ten nabrał szczególnej wagi i podstawowego znaczenia w czasie kryzysu. Krótko mówiąc, odpada problem tranzytu Państwo, mające własny dostęp do morza jest teoretycznie — zupełnie, praktycznie — w bardzo dużej mierze uniezależnione od licznych przepisów przewozowych, obowiązujących na terytorjum państw ościennych. Handel państwa morskiego dociera bezpośrednio do rynków zbytu i zakupu z pominięciem wszelkiego zbędnego pośrednictwa i uniknięcia ewentualnych celowych utrudnień.

Już z tego co wyżej powiedziano, plastycznie wynikają wszystkie korzyści gospodarcze, płynące z posiadania własnego dostępu do morza. A ponieważ w handlu czynnik kalkulacji odgrywa podstawową rolę, możemy streścić korzyści te w krótkiem zdaniu: mając własny port — kupujemy taniej i sprzedajemy taniej.

Moment taniej sprzedaży — moment eksportowy z natury rzeczy więcej nas interesuje. Toteż musimy stwierdzić, że morze odgrywa olbrzymią rolę w utrzymaniu na odpowiednim poziomie naszego wywozu. Co mielibyśmy robić z naszym węglem, bekonami, jajami, zbożem, szynami i t. p. i t. p. — gdybyśmy, wywożąc je, musieli korzystać z kolei państw sąsiednich. Koszt przewozu kolejowego oraz wszelkie przepisy reglamentacyjne (np. weterynaryjne — w stosunku do artykułów zwierzęcych) — uniemożliwiłyby sprawną obsługę klientów, a przedewszystkiem podbiłyby ceny naszych artykułów do poziomu wykluczającego możność konkurowania z innymi dostawcami.

I dalej: obrót handlowy pociąga za sobą wydatki uboczne. W szczególności w handlu morskim kosztuje pośrednictwo w wynajęciu okrętu, postojowe, załadunek, ubezpieczenie, wszelkie czynności ekspedycyjne. Gdybyśmy zmuszeni byli posługiwać się dla naszego handlu zamorskiego obcemi portami — ponosilibyśmy wydatki przewozu kolejowego na obcem terytorjum oraz koszta pośrednictwa i spedycji w obcym porcie. Olbrzymie sumy, należne za te uboczne czynności, pozostają teraz w kraju.

Tak więc dostęp do morza, dając nam swobodę wyboru rynków zakupu i zbytu, uniezależniając nas od obcego pośrednictwa, zazwyczaj arbitralnego i niewygodnego — pozwala nam równocześnie na poprawę bilansu handlowego (wzmożony wywóz) oraz na poprawę t. zw. niewidzialnych pozycyj bilansu płatniczego (należności wobec zagranicy za pośrednictwo, transport, usługę itp.).

Poruszane powyżej przez nas zagadnienie swobodnej dyspozycji handlowej — zasługuje na szersze omówienie jeszcze i z innej strony.

Własny dostęp do morza — to stałe i ciągłe stykanie się ze światem; ze styczności tej zaś płynie wiele nauk i doświadczeń, hartujących i przygotowujących do ostrej walki o dobre miejsce pod słońcem. Morze i praca na morzu uczą inicjatywy i aktywności.

Wreszcie zaznaczymy, że trudno myśleć o większej flocie, nie mając własnego portu. A własna flota — to pole do pracy dla obywateli, to dalsze zaoszczędzenie wydatków za transport morski.

Ale własny port nietylko pozwala na uniezależnienie się od zagranicy i zaoszczędzenie wydatków za obce pośrednictwo. Dobrze urządzony i korzystnie położony port ściąga do siebie drogą tranzytu handel państw ościennych, nie mających tak korzystnej sytuacji. Tem samem przysparza się zatrudnienia krajowym środkom komunikacyjnym i rękom roboczym, a więc uzyskuje się dodatkowe dochody od zagranicy.

To wszystko, cośmy wyżej powiedzieli, wystarczająco tłumaczy gospodarczą doniosłość posiadania własnego dostępu do morza.

Praktyka ostatnich lat potwierdziła to w całej rozciągłości. W latach najcięższego kryzysu, który szczęśliwie wydaje się już być poza nami, w okresie kurczenia się obrotów i spadku ożywienia we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego — Gdynia stanowiła niemal jedyny ośrodek wzmagającego się ruchu i ożywienia. Tendencja ta trwa nadal, toteż w chwili obecnej przez Gdynię i Gdańsk przechodzi lwia część naszego handlu z zagranicą.

Wybrzeże morskie jest naturalną, najlepszą bramą na szeroki świat, bramą, stojącą zawsze otworem, a której nikt nam zamknąć nie może.

O tem, o znaczeniu własnego dostępu do morza — wszyscy musimy pamiętać w dniu „święta morza". Pamiętając zaś, musimy sobie zdawać sprawę, że korzyści posiadania własnego wybrzeża będą tem większe, im bardziej głębokie i czynne będzie zainteresowanie się niemi społeczeństwa. Możliwości Gdyni i całego naszego wybrzeża są wykorzystane tylko w części: w handlu morskim, w żegludze, przemyśle portowym, jest we wszystkich ubocznych gałęziach, związanych z eksploatacją morza, olbrzymie pole do pracy. Więcej inicjatywy, więcej przedsiębiorczości, a opłacą się one znakomicie tym wszystkim, którzy życie swoje i pracę będą chcieli związać z błękitnym żywiołem.

Bohdan Witwicki.



O DOBREM WYCHOWANIU

(Ciąg dalszy).

Człowiek styka się z bliźnim słowem. Słowo wymaga higjeny, to znaczy umiarkowania. Słowa przesadne, blagierskie, brutalne, ordynarne, oblesne, wreszcie — łatwe kpiny, winny być zupełnie wyeliminowane ze słownika człowieka dobrze wychowanego. Polacy lubią mówić o sobie, że są grzeczni, ale dowodów tego nie dają. Wprawdzie co drugie słowo mówią — proszę pana czy pani, ale bardzo rzadko słyszy się wyraz — dziękuję. A ten wyraz raczej charakteryzuje dobre wychowanie.

Używajmy częściej wyrazu — dziękuję, a mniej — proszę.

Najcharakterystyczniejszą cechą człowieka dobrze wychowanego jest poczucie taktu. Lecz — co to jest właściwie takt? W najogólniejszem znaczeniu tego wyrazu taktem jest poczucie umiaru i właściwości, to znaczy znów — do pewnego stopnia — stylu.

Są ludzie, którzy takt mają wrodzony, inni mają go z dobrego przykładu domu, ale również wyrobienie życiowe, obyczaje towarzyskie może pozwolić człowiekowi na nabranie taktu, o ile ten osobnik jest dobrym obserwatorem i krytycznie się do siebie odnosi. Ludzie zarozumiali są pod tym względem beznadziejni. Ci nigdy taktu nie będą mieli, bo takt łączy się do pewnego stopnia ze skromnością umiarkowaną i delikatnością.

Takt słowa polega na tem, by się nie zagalopować i nie przesadzać. Trzeba się liczyć z wrażliwością ludzką, a także z drażliwością. Ktoś powie kobiecie komplement. Doskonale. Ale jeżeli powtórzy to za każdem widzeniem jej i to wielokrotnie, to będzie nudne i nietaktowne. Można tonem żartu wypowiedzieć komuś prawdę w oczy i on to zniesie. Ale powtarzanie lub wypowiedzenie tego samego innym tonem, może obrazić i stać się niebezpiecznem. Taktowny człowiek to ten, kto zdaje sobie w każdej chwili sprawę ze swej sytuacji względem ludzi, czasu, miejsca i rzeczy.

Człowiek dobrze wychowany musi być taktowny. Bo na cóż potrzebne jest dobre wychowanie? Potrzebne jest poto, by ludzi nie razić, nie urażać, a przeciwnie — działać na nich kojąco, harmonijnie, dawać z siebie atmosferę gładkości w stosunkach, spokoju, pewności. Ostukiwanie się ciągłe o kanty i rogi jest przykre. Otóż dobre wychowanie i takt zacierają te rogi i kanty.

Nieumiarkowanie w słowie zna jeszcze jedną formę nieznośną, tak zwanych — mówców. Niektórym ludziom wydaje się, że są dobrymi mówcami. Przy każdej więc okazji większego zebrania głos zabierają i gadają i gadają... Pominąwszy już to, że są często nudni, ale tu zwykle popełniają szereg nietaktów słowa, gaf, bo oczywiście nie znają dobrze wszystkich uczestników zebrania, sesji czy bankietu, więc zawsze kogoś urażą.

O cóż więc chodzi w tej higjenie słowa? Chodzi o to, że należy je ważyć i liczyć.

Kończąc zasadniczo sprawę słowa człowieka dobrze wychowanego, pozwolimy sobie dołączyć tu jeszcze — śpiew i gwizdanie. I jedno i drugie może być bardzo ładne, ale w domu. Niestety ludzie źle wychowani pozwalają sobie nucić i pogwizdywać np. w tramwaju lub w wagonie kolejowym. Jest to brzydki zwyczaj, bo tem zadaje się obecnym gwałt, zmuszając ich do wysłuchiwania czegoś, czego tamci słuchać nie chcą. Gdy masz ochotę gwizdać lub mruczeć, pomyśl, że obok ciebie siedzi może człowiek, który wraca z pogrzebu drogiej osoby, albo jest przybity złym losem.

Pewna wielka dama mawiała, że człowieka dobrze wychowanego poznaje się nieomylnie — przy jedzeniu, po śmiechu i w tańcu.

Myśmy dotąd mówili o tem, jak się poznaje człowieka dobrze wychowanego w słowie. Przypatrzmy się teraz, jaki ma być jego gest i ruch.

Gdy cudzoziemcy opowiadają o wrażeniach z Polski, prawie nigdy nie omijają podziwu nad sposobami witania się w Polsce, mając na myśli przesadne ukłony kapeluszem, całowanie się mężczyzn i trzęsienie ręką przy jej podaniu.

Ukłon kapeluszem, oczywiście bez przesadnego rozmachu lub uniżoności, jest ładny, choć bardzo niepraktyczny, szczególniej w deszcze lub mróz i w stosunkach między mężczyznami w niektórych krajach cywilizacji zachodniej prawie zupełnie zaniechany. Wystarcza tam uśmiech, lekki ruch głową, wyraz rzucony lub dotknięcie kapelusza w rodzaju salutowania. Ale pozatem sposób przywitania wyróżnia człowieka dobrze wychowanego, który podając rękę, na tem kończy, nie trzymając długo ręki witanego w swej dłoni, nie trzęsie nią do nieskończoności i nie ściska z całej siły. Szczególnie ten zwyczaj przykry jest, gdy ktoś ma rękę spoconą. Wówczas takie „serdeczne" przywitanie jest grubą nieprzyjemnością, a czasem obrzydliwością.

Jest również w złym tonie całowanie się mężczyzn, w dodatku w usta i to na ulicy. Zwyczaj ten należałoby zarzucić definitywnie i coprędzej.

Bez sensu także jest zwyczaj całowania rękawiczek na rękach pań, a wogóle nagminne całowanie rączek na ulicy. Najgorsze zaś z tego wszystkiego — to poufałe odgarnianie rękawiczki i wyszukiwanie kawałka gołego ciała dla złożenia na nim pocałunku przy spotkaniu na ulicy. Jest to już „mauvais genre" w wysokim stopniu.

Zwykłe podanie ręki, lekki, krótki uścisk, ukłon umiarkowany kapeluszem, lecz bez pochylania głowy, jest dziś w całym cywilizowanym świecie ogólnie przyjętym sposobem przywitania ludzi dobrze wychowanych.

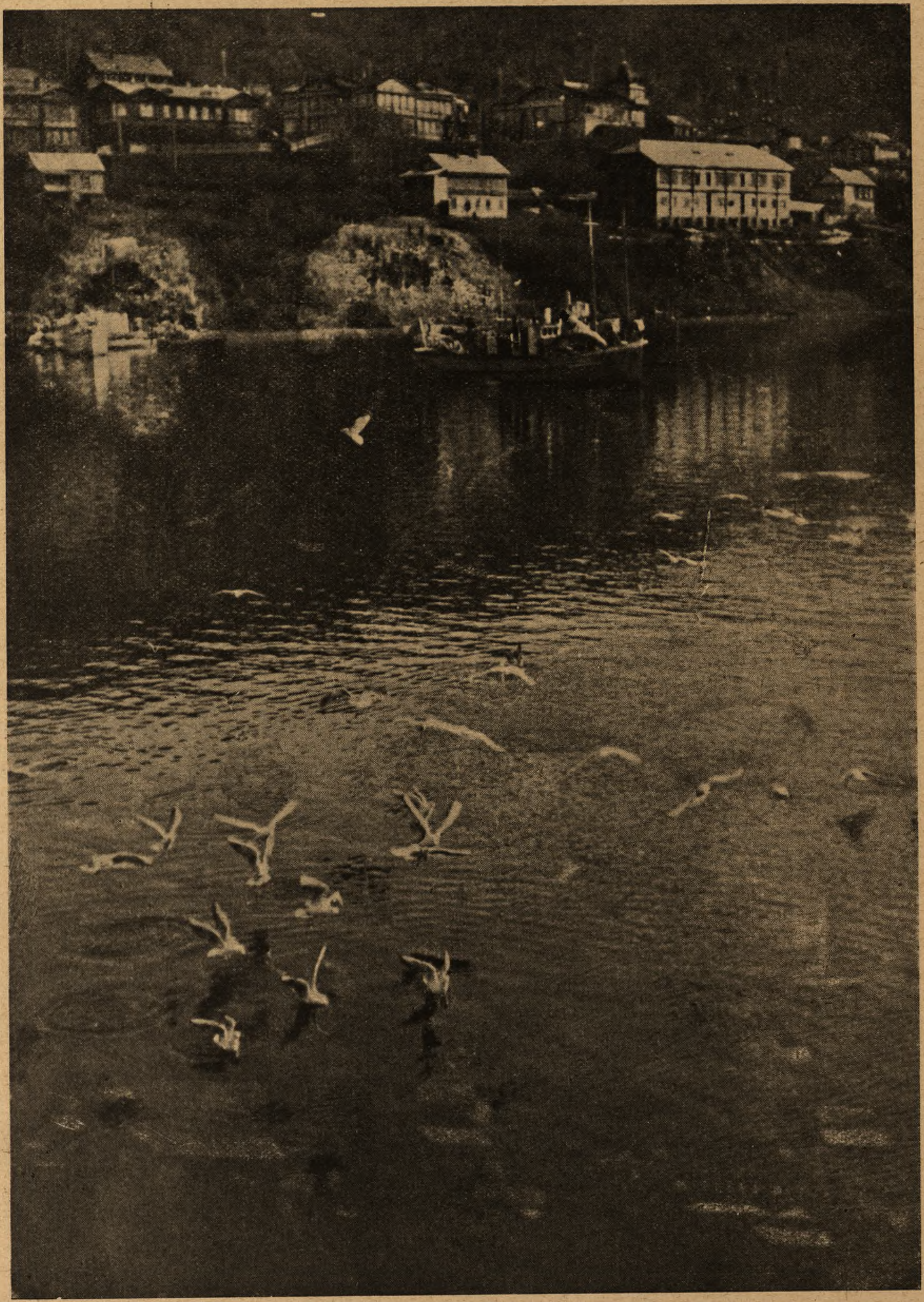
Nie wszystkich Pan Bóg obdarował urodą, ale dobre wychowanie niezmiernie podnosi człowieka i może nadać wdzięk nawet jego brakom. Przysłowie — jak cię widzą, tak cię piszą — ciągle jest aktualne. Z ruchu i gestu człowieka wiele można wnosić o jego kulturze.

Ruchy gwałtowne, nerwowe, poruszanie bezplanowe ręką, czy nogą, najrozmaitsze „tiki" głową, niedbałe siedzenie w lokalach publicznych — to robi złe wrażenie. Śmieszne jest zawsze „mówienie" rękami. Słowo jest tak bogate, plastyczne, malarskie, tak pełne najsubtelniejszej treści, jeżeli dobrane właściwie, że nie wymaga żadnej pomocy rąk, głowy i innych organów ciała dla nabrania wyrazistości. Oczywiście nie trzeba wpadać w przesadę i przypuszczać, że człowiek dobrze wychowany podobny jest do kółka w zupełnym bezruchu, gdy się z niego głos dobywa. Bynajmniej. Gest i ruch jest dopełnieniem mowy, ale nie jej namiastką, chyba u głuchoniemych.

Ludzi jest dziś ogromnie dużo, wszędzie tłum depce sobie po piętach, dobre więc wychowanie uczyni to ciągłe stykanie się ludzi znośniejszem.

A iluż to ludzi, dosłownie nadepnąwszy komuś na nogę, nie powie nawet — przepraszam. A iluż to ludzi ma okropny zwyczaj zbliżać przy mówieniu twarz swoją tak blisko twarzy rozmówcy, że ten musi się ciągle cofać, by nie wdychać bardzo często nieznośnego oddechu mówiącego. A czy nie jest powszechnym zwyczaj stawania w kolejce przy jakiemś okienku urzędowem tak blisko, że już bliżej nie można, kiedy miejsca jest tyle, że jedna osoba za drugą może stać o krok cały. Gest i ruch człowieka źle wychowanego uprzykrza życie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Na brzegach dalekiej Kamczatki.



„Cień szczęścia” w klasztornej ciszy

ROMANTYZM PRZED SĄDEM

Stulecie najtęższego dzieła naszej literatury romantycznej wysunęło na czoło problem romantyzmu. Rozwijać się poczyna dyskusja.

Ta dyskusja w sprawie romantyzmu i jego aktualnej roli w kulturalnem życiu polskiem, prowadzona naogół z większą namiętnością niż rzeczowością, zyskałaby niewątpliwie, gdyby mógł w niej zabrać głos... Brzozowski.

Niema jednak żadnej przeszkody, by zacytować w pewnej logicznej całości poglądy Brzozowskiego na romantyzm, wyrażone ze szczególną siłą zwłaszcza w jego pracy p. t. „Kilka uwag o stanie ogólnym literatury europejskiej i o zadaniach krytyki literackiej”.

Ponieważ jesteśmy przekonani, że istotnie „głos Brzozowskiego” zdolny byłby „pchnąć sprawę” romantyzmu w dziedzinę konkretnych sformułowań i wniosków, postaramy się naszą rolę pośrednika w wyrażaniu jego myśli wypełnić jak najlepiej a więc dyskretnie.

Nazwisko Brzozowskiego jest dość „popularne”, by nie można było wyrazić skromnej obawy, że często widzi się je zatknięte, jak sztandar na forcie, którego skład załogi i uzbrojenia zna się ledwie z „wywiadu” (szpiegowskiego czy dziennikarskiego!?).

Nie chcąc się znaleźć niepowołanym przed nieznanem bliżej audytorjum w roli impresarjo dyskusji **Cienia** z zastępem wypróbowanych publicystów, zdolnych jednem pociągnięciem pióra wykopać grób dla Zmartwychwstańca i jego literackiego wskrzesiciela uznajemy za nieodzowne wystawić Brzozowskiemu dowód osobisty (wraz z wizą wjazdową na ziemię). W dowodzie tym pod rubryką zawód, wypiszemy: najtęższy krytyk literacki swego czasu, umiejący trafnie zastosować kryterja filozoficzne do sfery literatury pięknej.

Niech więc teraz mówi sam Brzozowski, tak odważnie przez nas zaproszony na seans literacki.

Przedewszystkiem, co on myśli o roli i zadaniach krytyka literackiego. Jeżeli go w waszem imieniu — czytelnicy, prosimy o słówko wyjaśnień w tej sprawie, czynimy to z prostej ostrożności, ponieważ okres wojny, który nas dzieli od jego czasów, sprowadził tyle zmian w psychice współczesnego Polaka, że nastręcza to niewątpliwie dużo trudności we wzajemnem zrozumieniu. Te trudności — zdradźmy nasze podejrzenia — będą tem poważniejsze, im zmiany te są mniej zasadnicze. Smutne to, lecz, zdaje się, prawdziwe.

Stop jednak! Czas już ustąpić pola powołanemu.

Kto to jest krytyk? — pytacie. — Żeby wam ułatwić zrozumienie tego, powiem przedewszystkiem kim nie jest, a raczej jakim nie powinien być krytyk, ściślej mówiąc, jaką nie ma być działalność krytyka. — „W dobrze, nowocześnie pomyślanej działalności krytyka, nie powinno istnieć nic w rodzaju dającej się abstrakcyjnie wypowiedzieć nauki moralnej”. Jeśli więc nie będzie grzechem urazić was na wstępie słowem sceptycyzmu, pozwolę sobie podkreślić całą bezwartościowość usiłowań pewnych krytyków, którzy w dyskusji o romantyzmie starali się łopatą wyłożyć sens moralny swoich poglądów, a następnie spreparować go ad usum... pensjonarek, kształconych na „Panu Tadeuszu”. Nie trzeba uważać, że abstrakcyjna

formułka jest „równowartościową, a nawet wyższą formą obcowania z życiem”, niż „własne nasze życie, jego perspektywy i wartości”. Tragicznie śmieszny jest człowiek, który „ustala pewne ogólne rubryki, obejmujące jako swe rozgałęzienia różne postacie konkretnego życia i sądzi, że przez tę ogólność właśnie myśl jego weszła w kontakt z głębszemi, bardziej wartościowemi i zasadniczemi postaciami rzeczywistości. Ciągle więc powraca stanowisko **pozażyciowego, niezależnego od życia bytu.** Najgłębszą rzeczywistością jest dla człowieka zawsze konkretne ludzkie życie: wszystkie ogólne perspektywy, głębsze światy trzymają się zawsze na takiem życiu i mają znaczenie o tyle tylko, o ile życie takie konkretne, a więc całkowicie określone w swojej treści, nadaje im je, t. j. o tyle tylko, **o ile są takiemu życiu potrzebne”.** Toteż trzeba zawsze miarkować swe zapędy burzycielskie względem na życie samo, więc na konkretny związek pewnej ideologji wychowawczej, np. romantycznej, z rzeczywistemi dyspozycjami duchowemi społeczeństwa wychowywanego przez nią. Wybór tej ideologji — stwierdźmy to odważnie i męsko — dokonywa nasza irracjonalna istota, i jest to „jedyną szczerą, głęboką, nie fałszującą myśli postacią rozstrzygania”. A u nas niestety „kwitnie dzisiaj pedantyzm zarozumiałej nieruchliwości myślowej, pedantyzm nienawiści faktu”.

Ale dość gry na tej nucie. Powiedziałem wam bowiem dużo impertynencji, nie udzielając dostatecznej odpowiedzi na pytanie: kim jest krytyk?

Krytyk jest przedewszystkiem człowiekiem, który ze szczególną intensywnością umie odczuwać rzeczywistość. A „rzeczywistość istnieje zawsze dla nas jako człowiek, jako pewna określona, dźwigająca samą siebie organizująca i utrzymująca tożsamość twórczości. Twórczość zaś oznacza zawsze tutaj tworzenie człowieka przez człowieka”. Człowiek i tylko człowiek, we wszelkich jego prawdziwie twórczych przejawach — oto objekt działalności krytyka. „Nasz mistycyzm, nasza metafizyka, cała nasza frazeologja dzisiejsza, dziś coraz bardziej śmieszna, staje się kultem własnej niekompetencji, własnej kapryśnej a nieuzbrojonej do pracy ambicji”.

Zadaniem więc krytyka jest demaskować tę ośmieszającą się swą bezpłodnością frazesowiczowską postawę względem życia, to wyklinanie rzeczywistej rzeczywistości w imię urojonej.

Niestety pełno włóczy się po świecie, a zwłaszcza w dziedzinie literackiej „typków”, które osadzają wszystko na podstawie swego widzimisię i zachowują się, jak słoń w składzie porcelany. Gorzej, jak słoń na wonnej łące jednem stąpnięciem swej bilardowej łapy miażdżący tysiące delikatnych istnień.

Wobec takiego barbarzyństwa Brzozowski wystosowuje „apel do sumienia, do głębokiego poczucia odpowiedzialności za człowieka i przed człowiekiem”.

„Bogowie świata mają zasłonięte nieprzenikalne oblicza ale jednym spośród nich **jest sam człowiek**, rówieśny wszystkim, jeśli nie wiekiem, **to samoistnością swej woli**; a jednocześnie nie zna on i własnej swej twarzy, gdyż wszystko, co jest w nim, jest twórczością (wieczną zmiennością)”. Odsłonić i ukazać człowiekowi jego oblicze — jego „boską” twarz — oto zadanie krytyka.

„Krytyk, który jest **krytykiem, będzie czynnikiem najwyższego uspołecznienia,** organem krążenia ducha, miejscem, w którem najtajniejsze najsubtelniejsze życie samemu sobie się zwierza, poznaje i widzi”.

W tych określeniach zadań krytyka, oczywiście dosłuchamy się niezbyt nawet dalekiego echa dialektyki materjalizmu marksowskiego tem niemniej stanowisko Brzozowskiego, zajęte w tej sprawie, tchnie idealizmem, jakiemś poprostu Chrystusowem poczuciem „odpowiedzialności za człowieka i przed człowiekiem”, jest busolą dla twórczej jednostki na oceanie rzeczywistości społecznej.

Spodziewamy się zatem, że tytuł, który pozwala i nakazuje Brzozowskiemu zabrać głos w tej dyskusji romantycznej, został należycie wylegitymowany.

Jasnem jest, że wyrazem ścisłej konsekwencji poglądów na zadania krytyka będzie jego opinja o romantyzmie.

Przedewszystkiem przypomnijmy co mówi o zadaniach prawdziwej krytyki. Jej naczelnym obowiązkiem jest demaskować wszystko co „bezwiednie i cichaczem przenosi centr twórczości w obręb jakichś myśli, dających się sformułować, wyrazić niezależnie od twórczości”. To znaczy pozaspołecznie. Jego zdaniem — jest to niedopuszczalne. W romantyzmie właśnie dostrzega Brzozowski i tropi bez miłosierdzia ową tendencję do formułowania rzeczywistości jako ciągu myśli niezależnych od twórczości, czyli myśli pozażyciowych, abstrakcyjnych.

Brzozowski, wychowany w szkole myślenia kategorjami socjalnemi, obawiał się niebezpieczeństwa ugrzęźnięcia w bezpańskiej, bezwartościowej dziedzinie egocentryzmu intelektualnego i uczuciowego, który dla zaokrąglenia pewnej dowolnej formuły abstrakcyjnej, gotów jest poświęcić nakazy społeczne.

Coprawda należy stwierdzić, że romantyzm miał rację, podkreślając konieczność objęcia w ramach rzeczywistości wszystkich zjawisk, choćby intencje ich i kierunek, wykluczał nawet istnienie i całość tej rzeczywistości (i to jest właśnie aspołeczny). „Świat takiej rzeczywistości nie jest światem skończonym, ład nie jest ładem niewzruszonym”.

Błędem romantyzmu było, że przyjmował on za wystarczające przeświadczenie, iż „każda treść psychiczna posiada w sobie pierwotną moc twórczą, która nie może być unicestwiona przez to, że w obrębie **rzekomo jedynej** rzeczywistości nie znajduje się dla niej miejsca”. „Stwierdziwszy to romantyzm nie był skłonny sprawdzać, czy i w jakiej mierze istnieje ona (ta treść psychiczna) niezależnie poza obrębem zaprzeczającej i zaprzeczanej rzeczywistości”.

W ten sposób romantyzm wynosi każdą, nawet przypadkowo skonstruowaną treść psychiczną do wysokości jedynego sprawdzianu, byle tylko osiągnąć „bezwzględną irracjonalną wierność samemu sobie”.

I tu zaczyna się tragizm romantyzmu, albowiem, oczywiście nie zawsze, a raczej prawie nigdy, nie da się całkowicie zrealizować dążenie „stworzenia świata na nowo, przeistoczenia w samem jego źródle, w całej jego istocie, ład i prawo wewnętrzne muszą bowiem być rozszerzone, przerodzone, jeżeli zagrożona zakwestjonowana wartościowość świata, istnienia samych wartości, ma być przywrócona”.

Na tem tle zrozumiemy dlaczego „pewne abstrakcyjne rysy romantyzmu występują najdobitniej, **jeżeli nie najpłodniej** w postaciach całkowitego buntu, bezwzględnej negacji”. Mówimy najpłodniej: gdy bowiem „rozwija się ona do swojej potęgi szczytowej, do całkowitego przeciwstawienia się wrogiemu życiu w imię warownej wiary własnej młodości i dzieciństwa, tworzy ona nieraz postacie najcenniejsze i najzdrowsze kultury romantycznej”.

Niestety od tego romantyzmu wyżyn, jakże jest dalekie wartościowo **„romantyzm lojalności”**, który reprezentują romantycy **zaściankowi.** Tego pokroju romantycy usiłują **ubezwzględnić** wartości i treści duchowe, wytworzone przez życie pewnych grup, warstw dzielnic, z których sami pochodzą. Pierwsze zawiązki romantyzmu tego typu możemy wykryć na tym stopniu jego rozwoju, gdzie on się wydaje pewną postacią naiwnej opisowości. Wartości tak szacowane trzymają się tu jeszcze na składzie, na jego codziennych czynnościach, ale jednocześnie szacowane są już jako pewien rodzaj pozażyciowego posiadania, jako coś, co w życiu ludzkiem jest niemożliwością i złudzeniem, t. j. jako bezpieczeństwo i zacisze bezwzględne. Ten romantyzm swojskości, spiżarki, obórki i kościółka, to marzenie o zwycięskiem własną swoją mocą zadomowionem pomniejszeniu duszy występuje często jako ostatnia przystań romantyzmu znużonego i wyczerpanego przez bardziej górne loty: pan młody z **Wesela** Wyspiańskiego jest dobrą ilustracją tej romantycznej wiary w moc zbawczą minjatury”. (Byle polska wieś spokojna). „Sielanka stoi u kolebki nowoczesnego europejskiego ro

mantyzmu”. „Wierzymy, iż możemy psychikę naszą wypruć, wyprząc ze splotów dziejowej całości, że izolacja lub pomniejszenie przezwyciężają tragizm i że beczka Diogenesa czy żywopłot z malw bronią od Erynji”. Błędem romantyków lojalności względem zaścianka jest, że „zamiast świata widzą swego izolowanego, przypadkowego, bezczynnego ducha-pasożyta”.

I to sprawia, że romantycy zasklepieni w kulcie własnej niekompetentnej wielkości, wpatrzeni w nią jak w pępek, są tylko „dziećmi snów i ich rycerzami”. Zwłaszcza haniebne to znamię obarcza polską myśl filozoficzną i historyczną. „Ten mistyczny kult całej polskiej, czy jakiejkolwiek historji, ta obłudna fikcja nietykalności dziejowych, to jeden z postulatów polskiego nieuctwa, polskiej niemrawej bierności duchowej”.

I co się dzieje: oto „duch, **wierzący słowami**, wtyle pozostał przeraźliwie poza duchem, który żyje w czynie, woli, zużyciu i oddaniu całej życiowej istoty”. Słowem, romantyczne myślenie, a właściwie zamyślenie, wstrzymuje faktyczny rozwój rzeczywistości, wprowadza chaos między myśl i czyn — opóźnia odrodzenie świata.

Dlatego, że życie to czyn, a romantyzm tego typu to dążność do zamknięcia się w kwietyzmie zaścianka, gdzie możnaby polować, zbierać grzyby, pić kawę z kożuszkiem i wypowiadać ważkie słowa w sposób do niczego nie zobowiązujący.

Romantyk postępuje w ten sposób, jakgdyby „osiągnięty został stan życiowy, a jednak pozażyciowy, bo nie wymagający dalszego wysiłku”. „Romantyk nigdy nie jest w stanie rozstrzygnąć, czy jego treści są rękojmią rzeczywistości, czy też przeciwnie on jest rękojmią rzeczywistości tych treści. Nie posiada on — w gruncie rzeczy — płaszczyzny rzeczywistości dla swoich przeżyć”.

Romantyk żyje „szumem słów”. Nie mogąc wskazać co życiem swem wytwarza, nie istnieje właściwie prawnie w łonie społeczeństwa, opartego na twórczości. „trwa jako pewne nieporozumienie”. Lapsus vitae!...

Źle jest, gdy romantyk, uważający swą treść psychiczną za jedyny sprawdzian świata, nie może wskazać jej miejsca zaczepienia z rzeczywistością”.

Romantyzm w tej formie jest całkowicie bezpłodny. Zresztą położenie romantyka nie jest, czy też nie było lepsze od położenia racjonalisty lub klasyka. „Jak racjonalizmu, klasycyzmu było tylko pewną fikcją; istotą było przystosowanie jednostek do upatrywania piękna, rozumu w stanie rzeczy, zapewniającym im bezpieczne i prawidłowe istnienie na tle dokonanej już pracy wytwórczej”.

Jak widzimy więc, zasadniczą intencją Brzozowskiego jest osiągnąć taką metodę myślenia i odczuwania, by pokrywała się ona o ile możności najdokładniej z rzeczywistością, wyrażając ją jedynie z większem natężeniem, jakgdyby na wyższym poziomie. **Myśl, przeciwstawiająca tę świadomą rzeczywistość**, nie jest myślą twórczą, i wyklucza się eo ipso z zakresu możliwego wpływu na przekształcanie tej rzeczywistości.

Taką myślą świadomą zdolną przekształcać rzeczywistość, jest nauka. Lecz trzeba wiedzieć czego domagać się mamy od nauki. Nauka w istocie swej nie jest motorem czynu, jest tylko źródłem poznania. Nauka ukazuje nam, jak i wśród jakich warunków może przejawiać się wola, władająca sobą i umiejąca żyć: my zaś żądamy od niej właśnie tego, co ona w nas zakłada: samej umiejętności życia.

W ten sposób „świadomość” naukowa współczesnych ludzi wystąpiła jako to, czem była istotnie, jako forma eksploatacji nauki przez świadomość romantyczną.

I tu znów musimy przypomnieć, iż „tragedja romantyzmu wyrasta stąd, że sprawdziany retoryczne mogły uchodzić za sprawdziany życiowe, gdy były one lub gdy są one (nie dzieje się bowiem dzisiaj inaczej we współczesnem, zdemokratyzowanem szkolnictwie) tylko fikcyjną formą poza którą ukrywa się pewien system zorganizowanego, jako stan posiadania społeczeństwa”.

„Europa dojrzewa, zmienia się i poważnieje. Jeszcze pokolenie pracy a polikwidowane zostaną nieznośne frazesy, cała obrzędowość kultu własnej, zbuntowanej przeciwko życiu niedojrzałości”. Wszystko, co Brzozowski mówi o romantyzmie, ma właśnie na celu zlikwidowanie jednego z tych frazesów, jakim niewątpliwie stał się również i romantyzm, zwłaszcza w ustach pewnych jego „namaszczonych” piastunów.

Należy przytem zdemaskować cały fałsz ich roli jako jedynych powołanych interpretatorów im tylko znanej treści rzeczywistości. Oni to właśnie zatruwają młode umysły, poddając im abstrakcyjne formułki, zamiast uczyć je rozumienia rzeczywistości i wypowiadania się w niej twórczo. Nie należy się dziwić, że musi wywołać reakcję moment „w najbardziej klasycznem, zhierarchizowanem wychowaniu, gdy najwyższe rzeczywistości społeczne trzymają się na „dobrym”, „zdrowym” smaku retorycznym, na zdrowej i trafnej zgodności czystego myślenia, gdy cała historja, całe życie ludzkie jest jakby tematem tylko, zawieszonym w bezwzględnem osamotnieniu pomiędzy nauczycielem a uczniem. Potworność tego systematu jest do pewnego stopnia zamaskowana przez fakt, że nauczyciel jest w znacznej mierze przedstawicielem tego samego układu sił społecznych, od którego jest zależny podział dóbr”.

Czyż jednak społeczeństwu, jako takiemu, może zależeć na utrzymaniu przestarzałego układu sił i dóbr?

Jako rezultat takiej niesamowitej pedagogji „system pojęć może się stać w oczach człowieka jego otoczeniem realnem”.

W ten sposób, człowieka przeznaczonego do twórczości, która jest jego jedynym obowiązkiem, zawiesza się w próżni abstrakcji i jej czczych formuł.

I trzeba objektywnie stwierdzić, że „tu jest do gruntu fałszywa, deprawująca, niegodna podstawa wspólna romantyzmu i klasycyzmu, naturalizmu, racjonalizmu i empiryzmu”. Jest to wspólne wszystkim postaciom myśli przekleństwo skostnienia w formułkach, które są zaledwie wspomnieniem ujawnionej i skonsumowanej już treści dziejowej.

Treści, o której właściwie trudno powiedzieć, jaką była i czy była wogóle. Tak bowiem była indywidualną. Coprawda nie jest wyłącznym przywilejem indywidualizmu zawieszenie całej decyzji o najważniejszych sprawach życia gdzieś w całkowitej pustce ponadżyciowej, w osamotnionej woli istnienia.

Dla należytego rozwiązania postawionych tu zagadniej wprowadzić musimy jeden jeszcze czynnik: intelektualizm. Jest on bowiem wspólnem podłożem nietylko dla romantyzmu, ale i innych przejawów ludzkiej myśli. „Intelektualizm narodził się z psychiki zindywidualizowanych, rozpojedyńczonych rozbitków historji: z eremityzmu wewnętrznego, niemniej zdecydowanego, niż ten, który pędził ludzi z miast precz na pustynie”.

Takim eremitom intelektu chodzi o „stworzenie myśli czystej, wyzwolonej od indywidualnych, historycznych, narodowych, religijnych wpływów (jak się to charakterystycznie wyraża)”, słowem: myśli, która nie umie obyć się bez kategorji bytu pozaspołecznego, pozaludzkiego, a jednocześnie **stanowiącego najważniejszy życiowo, ludzko i społecznie moment** naszej psychiki, naszego życia”.

A tymczasem „prawdziwą rzeczywistością człowieka, siłą, która określa jego przyszłość, jest nie to, co on myśli, ale to, czem on jest w swych irracjonalnych pożądaniach, popędach, w całem swem ciemnem rwaniu się do życia. **Tu jest życie, z niego, tylko z niego, może powstać przyszłość”!**

Zaskoczony ostatnią tezą czytelnik pyta jaka jest, według Brzozowskiego różnica między romantyzmem a głoszoną przezeń ideologją?

Otóż poczytywanie romantyzmu za powrót do natury i pogardę dla „szkiełka mędrca” jest błędem, romantyzm w zakresie samostworzenia człowieka doskonałego oznacza tylko przesunięcie punktu ciężkości w tej fikcyjnej pracy z symbolów metafizycznych w kierunku symbolów fizycznych. Gdy się więc mówi, że romantyzm jest

(Dokończenie na str. 247).



LUDZIE JASKÓŁKI...

SKACZ DO WODY I PŁYŃ !!!

35° w cieniu! Upał! Pot rosi czoło! Pierś z trudem oddycha! Człowiek mimowoli ogląda się za ochłodą.

Zaroiły się brzegi rzek, strumieni, stawów, sadzawek. Wyległo wszystko na najpłytszą choćby wodę, poszukując orzeźwienia, wytchnienia.

Rzecz to zrozumiała.

Kąpiel jest zjawiskiem naturalnem, które obserwujemy nietylko u człowieka, ale u wszystkich prawie zwierząt. Jeden bodaj wielbłąd, okręt pustyni, tonie w wodzie. Odrazu łeb zanurza mu się w odmęt i biedne zwierzę dusi się pod wodą. Naogół jednak wszystkie zwierzęta pływają. To znaczy posiadają wrodzoną zdolność utrzymywania się na wodzie. Woda pozatem jest żywiołem całego szeregu ptactwa nawodnego, które buduje sobie nawet gniazda lęgowe na wodzie.

Król stworzenia, człowiek, nie ma wrodzonej sobie zdolności utrzymywania się na wodzie. Musi się uczyć pływać. Coprawda w tej dziedzinie osiągnął znakomite wyniki, jak i w innych dziedzinach cywilizacji. Pływa z niebywałą wytrwałością, nieraz dziesiątki kilometrów. Przepłynięcie kanału La Manche zostało dokonane kilkakrotnie i to nawet przez kobiety. Dwa lata temu przepłynęła kanał ten matka trojga dzieci. A nie jest to bagatela. Kanał jest szeroki na 100 km.

Jak więc widzimy, nie brak dziś naśladowców lorda Bayrona, który pierwszy przepłynął Helespont, liczący w owem miejscu 23 km, wzorując się zresztą na mitycznym poecie greckim, który co dzień przepływał cieśninę, aby się spotkać ze swą narzeczoną.

Oto miłość i dzielność nie zważająca na ogień i wodę!

Taki Zawisza Czarny miał wpław w pełnej zbroi przepłynąć Dunaj, śpiesząc na spotkanie z Turkami.

Do znanych rekordów pływackich, które zapisała historja, należy wyprawa hetmana Czarnieckiego w pogoni za Szwedami na jedną z wysp przybrzeżnych. Ciekawie pisze o tem Jan Pasek w swych „Pamiętnikach".

Dla pełni tych historycznych wspominek dodaćby jeszcze należało przejście Żydów przez morze Czerwone. Dlaczego przejście? Bo Żydzi się wody boją — odpowiedział ktoś dowcipnie, — więc inaczej nie można było ich przetransportować do ziemi obiecanej. W każdymbądź razie historja ludzkości związana jest z wodą, oceanami, morzami i rzekami.

Nad brzegami mórz i rzek powstawały najpotężniejsze miasta, jak choćby legendarna Troja i historyczna Kartagina, królowa mórz. Najpotężniej na dziejach zaważyły narody, które usadowiły się nad morzami i umiały walczyć o swą morską potęgę. Wiemy, że kartaginki pletły ze swych warkoczy okrętowe liny. byle tylko wyposażyć flotę na decydujący bój z flotą rzymską.

Talatta! Talatta! — Morze! Morze! — wołali z radością Grecy, jak opisuje Xenofont w jego „Odwrocie", wracający z niefortunnej wyprawy do Persji. A Aleksandrowi Macedońskiemu przypisują to słynne

powiedzenie, że kubek wody jest wart więcej od worka złota... na spalonej słońcem pustyni.

Człowiek, rurami sprowadzający sobie wodę na najwyższe piętro drapacza chmur, przestał sobie cenić ten płyn, odwrócił się od rzek.

Tymczasem woda jest bezsprzecznie jednym z najcenniejszych pierwiastków, niezbędnych dla życia człowieka.

Z dobroczynnego jej działania należy w jak największym stopniu korzystać. Obecny nawrót do sportów nie zapomniał i o wodzie. Bardzo dobrze, że tak jest. Zdrowotne działanie wody jest pierwszorzędne. Umiejętnie stosowana kąpiel jest jednym z najlepszych sposobów hartowania ciała, odradzania całego systemu nerwowego, tak bardzo nadwyrężanego przez obecne skomplikowane warunki życia.

Toteż hasła „nad wodę"! „na wodę"! „do wody"! powinny się spotykać w powszechnym oddźwiękiem, zwłaszcza w narodzie lądowych szczurów, jakimi są Polacy, którym brakło ambicji opanowania mórz i panowania nad światem przez morza. Wyjątek stanowi taki Jan z Kolna, czy Krzysztof Arciszewski, wyjątek stanowi taki Władysław IV Waza, budujący flotę (i to zapewne dlatego, że miał oko na Szwecję).

Z Gdańskaśmy przecież łatwo zrezygnowali, czego nie mógł przeboleć Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", mówiąc, że Gdańsk, „miasto ongiś nasze, wkrótce będzie nasze". A przecież ten Gdańsk bywał nawet ostoją w czasie walk o tron, że wspomnimy tu czasy Stanisława Leszczyńskiego.

Dzisiaj, po udoskonaleniach komunikacji nawodnej i podwodnej — morze przestało być żywiołem, który tak potężnie wzrusza serce człowieka.

Zwłaszcza my, Polacy, mało jesteśmy zbratani z żywiołem wodnym. Jesteśmy właściwie z nim w ustawicznej rozterce. Gdy inne narody, jak Anglja, Francja, mała Belgja poprzez morza ustaliły swą władzę kolonjalną, my łacno wyzbyliśmy się swych kolonij, jakie posiadaliśmy przecież w XVII wieku. Że je posiadaliśmy, o tem wie może stu ludzi w Polsce.

Gdy inne narody ze swych rzek i mórz czerpią bogactwo, wydzierają jak Holendrzy morzu całe obszary i oddają pod uprawę, my nie możemy uregulować Wisły i kilkunastu górskich potoków, by uchronić się od strasznej klęski powodzi, jak ostatni wylew. Parę tysięcy kilometrów kwadratowych zalanych, trzy miljony ludzi narażonych na niebezpieczeństwo utraty życia i mienia. Kilkadziesiąt miljonów strat w dobytku, tysiące metrów spławionych mostów, nasypów, dróg, szos — wszystko to w parę dni nas zaskoczyło. A przecież od kilkudziesięciu lat mówi się w Polsce o regulacji rzek. Tylko naród obojętny dla żywiołu wodnego, tylko naród mało przedsiębiorczy może podobny stan rzeczy tolerować.

BRACIOM ADAMOWICZOM!

Śniła się wam Ojczyzna daleka,
Wzywała wciąż tęsknoty wołaniem.
Zali jest serce w piersiach człowieka
Obojętne na takie wezwanie?

Wsłuchiwaliście się w jej głos z dali;
Jak syn słucha mowy matki swojej.
Najbłahsza wieść na radjowej fali
Budziła najczulsze niepokoje.

Więc postanowienie: trza powrócić,
Złożyć hołd serc na ojczystych progach,
Rodakom w bratni uścisk się rzucić...
Piękna być musi powrotna droga.

Możnaż wracać inaczej orlętom
Polskim, jeśli nie podniebnym lotem?
Więc w oną pielgrzymią drogę świętą
Wzlecieliście ścigłym samolotem.

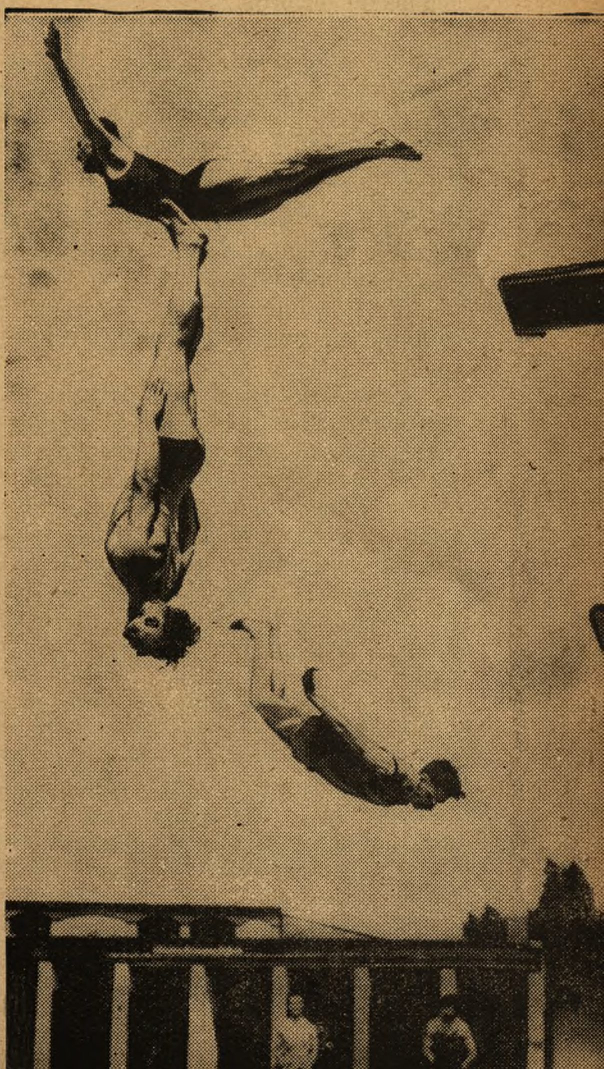
Przez Atlantyku wodne bezmiary
Do Polski biegnie droga niełatwa.
Gdy w piersiach w zwycięstwo nie brak wiary,
Cóż znaczy, że burza drogę gmatwa?

Dwakroć się w niebo aero wzbija,
Raz by opadnąć, drugi raz — dotrzeć.
Wichry i gromy w samolot biją...
Tak w trudach przybyliście samotrzeć.

Radością się Polska rozjaśniła.
Otwartem was sercem powitała.
Triumfem swych orląt upoiła.
Niech wam zabrzmi dziś: chwała! chwała!

J. St. Czarnecki.

WODA JEST SPRZYMIERZEŃCEM CZŁOWIEKA ODWAŻNEGO ZAŚ WROGIEM TCHÓRZA



Na pływackich mistrzostwach armji angielskiej demonstrowano szereg karkolomnych ewolucyj

DON JOSE ST. NOARRO. 19)

ZDOBYWCA AFRYKI

Dziś Stef zwycięską ręką brał życie za łeb. Dobrodziejstwa materjalne jego sukcesów odczuła z radością.

Dzieło jego było fantastyczne, ale cóż ją obchodziło, skoro było korzystne.

Ogromnie dogadzało jej dumie zaufanie, z jakiem Stef wysłał ją do Genewy. Uczuła się nagle człowiekiem pożytecznym, przydatnym. Postanowiła wywiązać się jak najlepiej ze swych nowych obowiązków.

Przyczyna wysłania ją przez Stefana nad Leman leżała zgoła gdzieindziej. Nie liczył on tak bardzo na jej użyteczność. Chciał przedewszystkiem oddalić Marysię od siebie, wprowadzić ją w świat nowych wrażeń, w tętno życia Europy, w jej podnieconą atmosferę, by zapomniała tam o przykrych rozdźwiękach i zaduchu domowego ogniska. Stefan bystrem okiem przeniknął jej duchowe walki, ocenił niebezpieczeństwo miłosnego ataku hrabiego i postanowił posłużyć się wypróbowaną metodą kliniczną, wyczekania przełomu bez przedwczesnej ingerencji.

Genewa miała stać się podwójnem laboratorjum, w którem powinno przejść próbę ogniową jego dzieło społeczne i jego szczęście osobiste.

W grymasie samobiczującej krytyki zdawał sobie sprawę z szaleństwa swego pomysłu: gdzie sens jest wysyłać, jak to ironicznie nazwał, kozła i kapustę nad lemańskie jezioro.

Uważał jednak, że katastrofy wiszącej w powietrzu nie dałoby się zażegnać. Hrabia prędzej czy później musiał „się oświadczyć" (jak dziwnie brzmi to słowo) jego żonie. Lepiej więc, żeby to się stało wcześniej, lepiej dla wszystkich trojga, gdy to się, stanie dalej od niego...

Żonie jego pozostawało przyjąć lub odrzucić „te" oświadczyny. Pełen zawsze tolerancji i wyrozumiałości, nie chciał wpływać nawet swą obecnością na jej postanowienie.

Tu powinny zaważyć czynniki głębsze, nietylko sam nacisk pewnych życiowych form, choćby uświęconych.

Coprawda czynił sobie wyrzuty, że postępuje raczej jak poganin, że nie walczy do ostatka o nienaruszalność sakramentu małżeństwa, o świętość rodziny, okazało się jednak, że rzeczy te teoretycznie tak łatwe, w praktyce były bardzo skomplikowane. Nienaruszalność małżeństwa winna być aktem dobrej woli obu stron, tworzących małżeństwo. Czyż miał prawo w jakikolwiek sposób wywierać nacisk na sumienie swej żony. Prawda, wyjście było jedyne; dopuszczalne z punktu widzenia moralności, t. j. utrzymanie małżeństwa. Ale załatwienie dopuszczalne, winno stać się pożądanem. Winno pociągnąć umysł i serce swem pięknem, swą wzniosłością moralną, winno zajaśnieć wspaniałem, słonecznem światłem, zatriumfować nad sztucznym blaskiem i powabem innego, nielegalnego związku. Argumenty same nie wystarczają. Tu trzeba dokonać wyboru, aktu, samorozpoznania.

Dalsze ich pożycie winno być odpowiedzią serca na krzyk serca.

Krzykiem jego serca, coprawda zmodulowanym przez ironję, przesłoniętym woalem krytycyzmu, był list do Marysi. Ironja miała stanowić furtkę dla jego ambicji do godnego wycofania się z ewentualnej sytuacji niepomyślnej, była klamrą chirurga, spinającą jego rozdygotane, rozdarte od bólu oczekiwania serce.

Kochał swą Marysię i w głębi duszy żywił nadzieję szczęśliwego odzyskania jej na zawsze już... dla siebie.

Z tym listem w jednym ręku, z gazetą przepełnioną relacjami w drugim, siedziała Marysia i zaglądała w głąb swego serca i sumienia, szukając odpowiedzi na dręczące wątpliwości.

Ach! czemu to przyszło tak późno. Czy późno?...

Cóż znaczy jeden pocałunek, wymuszony wobec tego niewątpliwego głosu serca, który z tkliwością pieścił imię Stefa, wobec tej słodkiej niemocy, jaka nią owładła na wspomnienie przeszłości, przeszłego z nim szczęścia Nie, nigdy przenigdy — Stef jest mój, nie dam go!

Coprawda, sprawa stała nieco inaczej. Toć wczoraj jeszcze zapomniała o nim z lekkiem sercem, owładnięta szałem miłości innego mężczyzny.

Dziś — kobieta żyje swem dziś — jej dziś było natchnione tęsknotą za nim, za Stefem. Hrabia był epizodem, nieporozumieniem, dystrakcją, kaprysem nerwów, wyczerpanych, umęczonych.

Prawdę uczucia kobiecego należy mierzyć troską o życie i zdrowie ukochanego. Kobieta jest przedewszystkiem siostrą miłosierdzia, podającą zgorączkowanym ustom nektar miłości. Czasami wszystko jedno czyim.

Pojęła zasadniczy nakaz swego życia. Stef jest mój i z żywością właściwą naturze kobiecej sformułowała go w pozytywny imperatyw: „Jadę do Warszawy"!

XXIII.

Stan zdrowia Stefana uległ niespodzianie pogorszeniu. Wstrząs i obrażenia cielesne, które odniósł w czasie napaści, a następnie wzruszenie, które przeżył na wernisażu, spowodowały odnowienie się ran z czasu wojny. Wskutek zaś urazu głowy został zaatakowany nerw wzrokowy i okazało się koniecznem przeprowadzenie zabiegu klinicznego w celu zabezpieczenia oka. Od paru dni Stefan znajdował się w klinice, gdzie miał wiele czasu na rozmyślania, wcale niewesołe.

Sytuacja pod każdym względem była przykra. Skoncentrowany atak jego wrogów osaczał go coraz bardziej. Kampanja prasowa, podjęta przez koncern Goldsteina, pomimo wszystko, przyczyniała wiele szkody. Manewr giełdowy, który z wielkim nakładem środków wykonano przeciw niemu, zrobił swoje, budząc popłoch nawet w kołach najbardziej zdeklarowanych zwolenników Towarzystwa Kolonjalnego. Do biura coraz więcej napływało zapytań, co robić z akcjami i czy towarzystwo przedsiębierze jakąś inicjatywę w kierunku zabezpieczenia interesów swych akcjonarjuszy.

Incydent z Pęcherzem początkowo zdawał się sprzyjać i leżeć na linji odprężenia sytuacji, lecz afera honorowa zaczęła się żółwio wlec, dzięki manewrom se-

kundantów Pęcherza, i zapowiadała się ad infinitum. A jeden z brukowców nieomieszkał w przejrzystych aluzjach dać do zrozumienia, że dr. Żarnicki nie ma co mydlić oczu opinji „donkiszockiemi gestami obrażonej dumy", że stawanie na ubitej ziemi bynajmniej nie rozstrzyga kwestji ciemnych stron gospodarki Towarzystwa Kolonjalnego.

Niespodziewanie i prasa, dotąd przychylna Stefanowi, zaczęła coś niejasno przebąkiwać o konieczności zakończenia niemiłej tej sprawy, która wskazuje na głębokie niedomagania naszego życia społecznego i na ukryte za jego kulisami obce agentury. Z innej strony zaczęto się zupełnie nieoczekiwanie domagać kontroli nad polskiem Radjem, które tak łatwo pozwala się użyć za narzędzie do prywatnych porachunków różnych aferzystów. Ktoś nawet — całkiem z głupia frant — bąknął, że Stefan dla celów reklamy zaaranżował cały swój bluff z porwaniem i że opinja nie da się tak bezczelnie szantażować. Słowem t. zw. opinja publiczna wykrzywiała swą głupią, szydliwą, małpią twarz. Wszystko to ogromnie raniło już nietylko dumę, ale i godność Stefana, który był bliski ostatecznego upadku ducha. Z Genewy nie napływały też pocieszające wieści. Szanse załatwienia sprawy Kamerunu były bardzo nikłe. Europa była wciąż pod wrażeniem kryzysu gospodarczego, który wyraźnie stwierdzał jej bezsilność, gdzie więc tu sięgać do jątrzącej kwestji kolonji. Ostatnia wojna japońsko-chińska, ruch emancypacyjny w Indjach — wszystko nakazywało wielką ostrożność w załatwianiu spraw pozakontynentalnych. Zwłaszcza, że wszędzie sięgała ręka propagandy sowieckiej, podburzającej coraz bardziej kolorowe ludy przeciw białym. Z wyrafinowaną złośliwością wskazywała na ten fakt polityka niemiecka, wyciągając stąd nieoczekiwany wniosek, że kolonje winny wrócić do Niemiec.

Słowem na terenie zagranicznym sytuacja była mętna.

Myśląc o tem Stefan, mimowoli ironicznie się uśmiechnął. Przypomniała mu się delegacja Marysi do Genewy w towarzystwie hrabiego: ot — kapusta i kozioł. Niedorzecznością było przypuszczać, że czego się nie da załatwić u siebie, to załatwi się „zagranicą" i że kapusta nie będzie nęcić obcych kozłów. A zresztą — nawrócił znów do kwestji kolonji — jaki mamy właściwie tytuł do objęcia Kamerunu, który jest także swego rodzaju kapustą.

W tej chwili wpadł do pokoju Ligęza.

— Jak się masz chłopie? Jak tam szacowne oko? Coprawda jako stróż egzotycznych kolonij mógłbyś występować też w masce Polifema. Żarty na bok, coś — widzę — cię trapi! Wyglądasz jak piątek na niedzielę, jak sowa na pustym ateńskim rynku. Za mądrą masz minę, żeby czuć się szczęśliwym. Zbytek rozumu szkodzi duszy tak samo jak obżarstwo — ciału. Ligęza paplał beztrosko, usiłując wywołać uśmiech na usta przyjaciela.

— Niedorzeczność — szepnął Stefan.

— Co? Jaka niedorzeczność?

— Wszystko! Cała ta sprawa kolonjalna. Stefan wykonał ręką jakiś nieokreślony, rozpaczliwy ruch. Jakiem prawem, wybuchnął — my chcemy zabrać tym murzynom ich ziemię ojczystą?

— Co ty bredzisz? Może będziesz pytał się każdego afrykańskiego nagusa, co on o tem myśli. Genewa nie bardzo wie, co z tem zrobić, a ty wyjeżdżasz z jakiemiś skrupułami... Powinieneś się zapisać do sekty indyjskich jogów i szukać natchnienia, wpatrując się w pępek. Przyszłość narodu, interes Polski nakazuje pomyśleć o tem, by zabezpieczyć nam ziemię dla ulokowania nadwyżki ludności, a ty badasz opinję murzynów w tej kwestji.

— Właśnie interes Polski! Anglja też nie wiele robiła sobie z opinji Indusów, aż przyszedł Ghandi i rzucił swe ważkie veto.

— No, no, Afryka nieprędko doczeka się swego Ghandiego. Zresztą o kompromisie pomyślimy we właściwym czasie i postaramy się ugłaskać murzyńskie aspiracje, o ile wogóle z murzynów coś zostanie, o ile — zresztą i z nas coś zostanie!

— To jednak trochę cyniczne — odparł Stefan.

— To tylko nieliryczne, lecz przystosowane do twardego życia. Polityka niema nic wspólnego z roztkliwianiem się nad murzynami. Nikt się nad nami nie będzie roztkliwiał. Trzeba życie brać trzeźwo.

Właśnie zastanawiam się nad tem, czy nam potrzeba do szczęścia tej Afryki. Mamy przecież Polesie. Dowiaduję się, że na Polesiu jakaś żydowska spółka „Ika" skupuje ziemię, aby parcelować wśród żydów. My będziemy wynosili się do Afryki, a żydzi osaczą nas na wszystkich granicach.

— Kwestja Polesia swoją drogą, a Afryka swoją. Zresztą nieraz już tak bywało, że nie udawało nam się rozwiązać pewnych zadań w kraju, brakło na to środków itp., natomiast mieliśmy je na różne obce imprezy i starczało nam zapału dla San Dominga, przez które zresztą wiodła droga... do ojczyzny. Nie jest to tak znów niedorzeczne. Przecież potęga Albionu powstała właśnie dzięki temu, że umiał on się oderwać od macierzy i przerzucić na dalekie obce tereny, by je opanować i wpleść w koło wasalów Korony. Brak ambicyj imperjalistycznych, to dowód pewnej niższości kulturalnej, to cecha schyłkowości i dekadencji. Polskę odrodzoną stać chyba na taką ambicję. Jest to naszą koniecznością dziejową.

— Smutne, lecz jakoś ja sam w ostatnich czasach poczynam niedowierzać w tę konieczność dziejową.

— Wstydź się stary! Zresztą to objaw chwilowej depresji. Uszy do góry. Pilnuj Stefanie sprawy, jak oka w głowie, a oka w głowie, jak swej sprawy. Dziwię się zresztą — siedzisz jak mumja, a tu wokoło ciebie istny ogród. Jakieś czułe serce myśli o tobie.

— Czułe serce. Nie wierzę w czułe serca?

— Dziś — widzę — jesteś w specjalnie złośliwym i pesymistycznym nastroju. A przecież życie zostawiło ci coś ze swoich blasków... Żona?

— Żona! w Genewie.

— Sam ją tam wysłałeś.

— Ale teraz mogłaby już być przy mnie. Potrzebuję opieki, troszkę ciepłej atmosfery.

— Rozumiem cię, trudno przeboleć... Ale — a propos — skąd te kwiaty?

— Ja sam się nad tem zastanawiam.

— Zapewne jakaś wielbicielka wielkiego trybuna ludu. Bądźcobądź, jeśli nie zdobyłeś Genewy, a choćby pałacu namiestnikowskiego, jeśli nie pokonałeś Goldsteina, to napewno zawojowałeś niejedno serduszko. W obecnym nastroju melancholji jabym ci radził nawet zdyskontować to. Mała awanturka erotyczna postawi cię na nogi.

— Ależ żona.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

TRZEBA ZAPOMNIEĆ.

Tak, trzeba zapomnieć... i to wiele, bardzo wiele rzeczy!

Ludzie najczęściej zapominają o tem, co im najłatwiej zapomnieć, co dla nich jest niewygodnym ciężarem, jak obowiązki, zaciągnięte długi, wdzięczność za pomoc w niedoli... Zapomnienie ludzkie posuwa się tak daleko, że zapomina o największym swym dobroczyńcy — Bogu i o bezmiarze dóbr, wyświadczonych przezeń stworzeniom. Jakże nieczęste są dziś głosy, któreby powtarzały za Janem z Czarnolasu: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary"? — I zdaje się nawet, że im hojniej obsypani są „dobrodziejstwy, którym niemasz miary", tem mniej pamiętają o Dawcy dóbr wszelakich... Prostaczkowie pamiętają o tem, co winni Bogu, inteligencja — zapomina!

Tymczasem punkt ciężkości zapomnienia musi być przeniesionym z zewnątrz na wewnątrz, na samego człowieka. Musimy zapomnieć i powinniśmy zapomnieć przedewszystkiem o sobie... W tem tkwi jądro i cały sekret i cała doniosłość zagadnienia.

Musimy więc zapomnieć o tem, cośmy dla innych dobrego uczynili, a przynajmniej nie skarżyć się, gdy nam nie odpłacają wdwójnasób i nie czynić im z tego powodu wyrzutów. Jeśli wyświadczymy bliźnim jaką naprawdę wielką i ważną przysługę, to niech ona będzie zapisana w Sercu Bożem. A gdy nam za to niewdzięcznością odpłacą, przypomnijmy sobie słowa Zbawiciela: „Słudzy nieużyteczni jesteśmy... Cośmy byli winni uczynić — uczyniliśmy"!... — Niechaj nie wie lewica, co sprawiła dobrego prawica nasza na ziemi!

A potem... potem musimy zapomnieć o wszystkiem, cokolwiek złego, przykrego, podłego uczynili nam ludzie. Zwłaszcza wtedy, gdyśmy im wiele okazali serca, wyświadczyli dużo dobrego.

Nie należy do zalet — oczywiście — wypominanie bliźniemu rzeczy, które już okrył kurz i pył oddalenia, byle tylko mu dokuczyć i przykrość sprawić. A bardzo wielu tak czyni, nawet spośród tych, co mają pretensje do t. zw. ogłady towarzyskiej. Mają ogładę rozumu, zewnętrznych gestów i manier, ale nie mają ogłady serca. Przypominają nam zatem i zarzucają rzeczy z dni zamierzchłej przeszłości, sprzed lat dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu. Rzeczy poczęści prawdziwe, a w daleko większej części zmyślone. Złemu sercu o prawdę nie chodzi. Ono chce upokorzyć drugiego, chce mu dokuczyć. Prawdę pomiesza z fałszem, byle ukuć dotkliwie raniący, ostry grot, co ugodzi w serce przeciwnika. Mniejsza o to, jak on to odczuje. Im cios będzie pewniejszy, straszliwszy i głębiej zrani, tem lepszy. Użyją go niechybnie i z rozkoszą...

Pokolenie, które na własne oczy widziało wojnę światową i własną ręką zadawało rany, tak się przyzwyczaiło, tak oswoiło z tem, by drugich ranić... Ale nie pomyśli o tem, jak to ciężko samemu.. być zranionym! A to tak otrzeźwiająco działa na psychikę i świadomość, tak zbawiennie reguluje chęci i zachcianki złego serca, gdy się stawi sobie przed oczy tę starą, wielką, katolicką prawdę: „Nie czyń tego drugiemu, co tobie niemiłe"!

Ranić innych — przypuśćmy — nie ranimy. Zapomnieliśmy. Puściliśmy w niepamięć wszystkie docinki, przykrości, dokuczliwości doznane od bliźnich. Ale jak się tu bronić, gdy nas inni ranią? Gdy oni nie zapomnieli i wciąż smagają nas biczem wyrzutów?

Istotnie. Można spotkać takich „rycerzy" w społeczeństwie, w pomniejszych środowiskach, w gronie rodziny... Chodzi taki, czy taka, jak wiecznie kąsający skorpion, przylatuje niewołany, jak osa i kłuje żądłem. Raz odpędzony — powraca i na nowo rozpoczyna szturm do twierdzy... cierpliwości ludzkiej. Takiemu nie odpowiedzieć, nie odeprzeć zarzutów, zmilczeć? Toż to przyznanie się do winy, słabość i tchórzostwo!

Zapewne. Odeprzeć niesłuszny zarzut można i trzeba, nawet drogą sądową, gdy zajdzie konieczność. Ale „rycerz", raz odparty nie daje za wygraną. Podnosi tę samą broń do oka, celuje i pali. Stawia te same, sto razy obalone zarzuty... I trzeba się z nim użerać, trzeba walczyć, inaczej — gdzie nasz honor?! My przecież musimy mieć ostatnie słowo!

Musimy mieć ostatnie słowo, ale mądre! A skoro już raz wypowiedzieliśmy takie słowo mądrej obrony, skoro raz wyświetliliśmy prawdę należycie, to poco nadal walczyć z głupim? Na głupich wrogów, wybijających już otwarte drzwi, jest tylko jeden oręż obronny: — Milczenie!... Sławna zasada Dantego: „Guarda e passa"!

A kiedy to tak trudno milczeć, gdy nas kto w żywe oczy znieważa!

Trudno milczeć, a nie trudno — być głupim? I na głupie zarzuty z głupim się certować, handryczyć, kłócić, fatygować język i dawać okazję do śmiechu gawiedzi, przysłuchującej się kłótni? Zaiste, łatwiej milczeć! Tembardziej, że milczenie w takich wypadkach jest daleko skuteczniejszą bronią od wymowy samego Cycerona i Demostenesa.

A to jak?

Weźmy porównanie wakacyjne... Naprzeciwko lasu zebrała się gromada pastuchów wiejskich i woła po niezliczone razy w stronę lasu: „Kto urwał jabłko z drzewa"? Las im za każdym razem odpowiada, zgodnie z prawdą historyczną: „E-wa"! Nie mogą się nacieszyć, wołają wciąż na nowo... A gdyby lasu nie było? Gdyby na ich wołanie do pustego pola odpowiedziało im mądre echo — milczeniem? Czy wołaliby więcej? Zawołaliby raz, drugi, a nie otrzymując odpowiedzi, daliby spokój wywoływaniu echa...

Podobnież bywa i w gronie ludzi. Jedni są pastuchami wiejskimi, drudzy lasem... I na wołanie pastuchów odpowiadają — echem... Wielkiem, stokrotnem echem... Pastuchy to słyszą i ponawiają swe wołania... żeby znów wywołać echo...

Trzeba więc o ich wołaniu poprostu zapomnieć.. Nic więcej!





„Awantura o Jolantę”.

Z TEATRU

Misterjum Calderona „Tajemnice Mszy św., grane przy znakomitej frekwencji na podwórcu kościoła świętokrzyskiego, zostało bardzo starannie wyreżyserowane przez dyr. Chmurkowskiego. Nadał on całości zupełnie właściwy charakter, wydobywając znakomicie potrzebną celebrę liturgiczną i dostojny patos natchnionego dzieła. Aktorzy doskonale wczuwali się w swe role, szlachetnie recytowali tekst, operowali gestem majestatycznym. Dobór został dokonany szczęśliwie, zwłaszcza postaci Mojżesza, Pawła oraz arcykapłana, interpretowanej przez samego reżysera. Na wyróżnienie zasługuje Chrystus, szlachetny w sylwetce, pełen ciepła tkliwego w głosie i umiaru w geście.

„Awantura o Jolantę” jest ciekawym przekrojem przez psychikę współczesnych Niemiec. Stanowi ona doskonałą ilustrację nurtujących w nich tendencyj społeczno-politycznych, zwrotu od państwa, jako molocha, ku narodowi, jako naturalnej ostoi ładu, porządku, a więc i samego państwa. Historja jest prosta, nieomal banalna, chwilami trywialna, ale właśnie w tej prostocie kryje się jej siła, jej vis comica, jej sceniczny walor, uwydatniony przez świetnych wykonawców z Samborskim, Daczyńskim, Fabisiakiem, Justianem oraz Eichlerówną i Żabczyńską na czele. To właśnie świnia nazywa się Jolanta. Tej świni oddać i tego podatku nie chce zapłacić zamożny kolonista. Jest w nim coś z sarmackiego pieniactwa — jak to zauważył słusznie Grzymała-Siedlecki, ale bo też rzecz dzieje się w Prusach, gdzie krew słowiańska płynie. Woli on nawet zapłacić wysoką karę choćby 200 mk. niż 70 mk podatku. Zaczyna się więc walka o świnię, o jej wydarcie z rąk urzędu. Reprezentuje go żandarm, niezguła, ale zato umiejący rozkazywać, słowem przedstawiciel tego państwa-tyrana, które gniecie i wysysa obywateli. Zgodnie z nową teorją, obowiązującą od niedawna w Niemczech, ma przyjść na to miejsce państwo oparte na samopoczuciu narodowem obywateli. W myśl tego samopoczucia córka kolonisty płaci podatek, coprawda pokryjomu, gdy jednak wyjawia to ojcu w chwili, gdy zasiadają wszyscy do pieczonej wieprzowiny (właśnie z tego zafantowanego świniaka), kolonista akceptuje jej stanowisko, bo zawsze lepiej mieć czyste sumienie. — Słowem jest i morał prosty i przekonywujący, choć bez sztuczności pokazany.

Komedja muzyczna w Małym p. t. „Szczęście na poddaszu”, gdzie święcą triumfy Brochwiczówna, Popielska, Ruszkowski, Karpiński, Małkowski, jest bezpretensjonalnym żartem z życia cyganerji artystycznej. Motywów muzycznych nie jest w niej zawiele. Parę melodyj, parę piosenek z uczuciem odśpiewanych przez Brochwiczównę. A pozatem dużo ruchu, życia, werwy i studenckich kawałów, w których bardzo zręcznie splata się sen i rzeczywistość, marzenie i jawa, z oczywistym happy endem.

„Kochankowie” Grubińskiego, zagrani w Kameralnym, zatrącają o temat z króla Edypa. Oczywiście anegdota jest unowocześniona nietylko w ogólnem tle, ale i sposobie traktowania i rozwiązania. Tragiczne brzemię kazirodztwa niema dla autora już tego niepokonalnego ciężaru. Trzeba jednak przyznać, że autor nie narzuca nam jakiejś tezy ultra reformistycznej, wszystko wogóle obraca się w półtonach, niedopowiedzeniach, niepełnych akcentach, całość jest zbudowana bardzo ekonomicznie i zwarcie, z wyjątkiem jedynie może partyj lirycznych, i zbędnie komplikującego wątek „starcia między rodzicami”. W tem starciu autor ujawnił, zapewne mimowoli, egoizm męski, nie oglądający się na nic. Starszy pan, z którym los nie obszedł się elegancko, zjawia się jak deus ex machina, nie dlatego, by syna wyrwać z niebezpieczeństwa, lecz dlatego, by zemścić się. Bardzo to brzydkie i nieeleganckie, a przytem odciąga nas od głównego konfliktu. Rozwiązanie tego konfliktu jest zaś, z łaski autora, pastelowe. Nowoczesny Edyp stara się zapomnieć o wszystkiem, bo przecież po najciemniejszej nocy następuje dzień, a tego właśnie dnia (po nocy tragicznych wyjaśnień) wschodzi przepiękne słońce. W to słońce idą razem on, Edyp, i ona — w jakim charakterze, czy jako „kochankowie”? Perspektywa jest rozmazana, i niezorjentowana zupełnie np. w stronę, że skoro to jest syn i matka, więc stoi przed nimi świat uczuć zgoła innych, które to „razem” mogą usprawiedliwić, na inną modłę ująć...

Aktorska interpretacja w osobach Brydzińskiego, Łuszczewskiego i Grywińskiego dodała sztuce wiele blasku, pod kierunkiem zresztą samego autora-reżysera.

„Klub kawalerów” Bałuckiego w skali swego rodzaju literackiego odbył podobną nieomal ewolucję, jak „Wesele”. Wyparowała zeń autentyczność i lokalność, cały charakter pamfletowy, a została treść ogólna. Nie jest ona bardzo wyszukana, ani skomplikowana, nie zawiera jakiejś głębokiej filozofji, doskonale jednak ujmuje życie w ramach groteski, (która ma przecież taką samą skalę w dół, jak patos profetyczny, mistyczny, czy heroiczny w górę).

Kilku ostremi, trafnemi rzutami odsłonięta została natura ludzka, która przy całej różnorodności typów, jest jednakowa w rzeczach zasadniczych, w swym pociągu erotycznym. Oczywiście uległy zmianie akcesorja społeczne i kulturalne — „epoka” Bałuckiego ma dziś swą perspektywę — ale niezmienione zostały akcesorja i sprężyny ludzkich uczuć. Bałucki umiał je znakomicie podpatrywać, choćby wymienić tu zabawne qui pro quo między wujaszkiem a Marją.

Reżyserja Węgierki w sposób wyrafinowany wydobyła cały aromat artystyczny dzieła, pod kapitalnemi maskami groteski pokazała prawdziwych ludzi; wybornie zgrany zespół z niezrównaną Ćwiklińską, ze Świerczewską, pełną wdzięku i finezji, Dulębianką, dyskretną w grze z umiarkowanym Stanisławskim, rozfikanym Wesołowskim, przezabawnym Grabowskim, i mistrzowsko odstawiającym jołopa Węgrzynem, we fredrowskim smaku interpretującym Rolandem, bawił widownię do rozpuku.

Całość tryskająca życiem, zmontowana pierwszorzędnie, oszałamiająca tempem.

J. Czarnecki.

ZE SZTUKI

Wystawa „Polska i jej lud”, zorganizowana w Zachęcie, oczywiście nie może wyczerpać całego bogactwa motywów lokalnych etnograficznych i geograficzno-pejzażowych w naszem malarstwie. Tem niemniej daje bogaty i bardzo różnorodny przegląd przejawów piękna polskiego krajobrazu, jego indywidualnego charakteru, czaru i uroku. Mamy tu zgromadzone płótna najtęższych polskich pejzażystów dawnych i nowych z Brandtem, Chełmońskim, Rapackim, Trzebińskim, Lipińskim, Filipkiewiczem, Żukowskim, Domaradzkim, Dybowskim, zapomnianym St. Witkiewiczem, dalej Nałęczem, Nehringiem, Wróblewskim, a poza tem wszystkiem Orłowskim (dwa cenne gwasze, odkryte i zidentyfikowane przez p. M. Chudka).

Trudno jest wymienić wszystkie nazwiska, ustalić epoki, maniery, stylizacje. Mamy rzeczy zupełnie naiwne z początku XIX wieku, jakieś bardzo kiepskie naśladownictwa Canaletta, mamy świetnego Brandta — ukrainnika, umiejącego wyczarować urok dzikiego stepu i jego ludu, mamy sentymentalnego Chełmońskiego, którego „Księżyc wschodzi” trochę nas razi, jakby tu powiedzieć, nieudolnością. Mamy świetne typy nużącego ich powtarzaniem Kossaka i Wodzinowskiego, mamy góry Filipkiewicza i śniegi rozkochanego w nich do utraty pamięci Domaradzkiego, mamy morze Nałęcza i Sipińskiego à la Hokusay, mamy zapomniane motywy architektoniczne Trzebińskiego i Konopczyńskiego, mamy krowy, stawy, topole Lasockiego, mamy lasy T. Cieślewskiego.

Słowem mnogość i rozmaitość.

Mnogość, rozmaitość i lichota jest znamieniem innej wystawy. Wystawy książki i plakatu w S. S. R.

Masowy charakter produkcji słowa drukowanego, obliczonego na cele propagandowe sprawia, że forma jest ladajaka, trywialna, banalna i właściwie małonowatorska. Nie brak oczywiście na wystawie sowieckiej książki luksusowej, przeznaczonej zwłaszcza dla czytelników zagranicznych, wydanej po angielsku, francusku, niemiecku z kapitalnego rotograwjurami.

Książka taka zresztą jest również jednym krzykiem agitacyjnym, tyle, że na poziomie artystycznym. Trzeba bowiem stwierdzić, że niektóre wydawnictwa artystyczne, wydania miniatur staroruskich, projektów kostkumowych etc., mają doskonałą i piękną formę.

W każdymbądź razie uznać należy fakt, że Sowiety wprowadziły z premedytacją w czyn głoszone hasło: oświata dla wszystkich! W kilkudziesięciu językach stworzyli piśmiennictwo, w którem karmią czytelnika komunałami, jak prawi komuniści...

Co z tego zostanie, przekonamy się za sto lat, jakie te fermenty myślowe, które wywołali, przyniosą wyniki, może nas przekonać tylko przyszłość!

Oczywiście płytka i mętna fala uświadomienia musi spłynąć. To jest w porządku rzeczy. Tak też muszą się „wysłużyć” te traktory, motory i inne potwory mechaniki, które Sowiety tworzą dla zasady, że to musi być, choć nie zawsze wiadomo, co z tem robić.

PREMJERY.

„Rozkoszna dziewczyna”, komedja muzyczna, wystawiona w teatrze Polskim z Romanówną i Dymszą na czele, bawi doskonale publiczność wdziękiem swych melodyj, bezpretensjonalnością i beztroską.

„Arletta i zielone pudła” w teatrze Nowym w świetnej obsadzie aktorskiej, rzuca nam szereg kapitalnych oświetleń środowiska kobiecego.

ŻYCIE KLASZTORNE NA FILMIE.

W kinie „Adria” wyświetlają doskonały film Paramountu p. t. „Cień szczęścia”. Wprowadza on nas do hiszpańskiego klasztoru żeńskiego, w którego mury wstępuje młode dziewczę. W tymże prawie czasie do klasztoru dostaje się podrzutek. Nasza bohaterka, młoda zakonnica, doskonale kreowana przez przepiękną Doroteę Wieck, została wyznaczona na opiekunkę niemowlęcia. Powoli wyrasta z niego śliczne dziewczę; w swych nadziejach siostra Jolanta widzi ją składającą śluby zakonne. Lecz dziewczynkę pociąga życie świeckie. Wkońcu też opuszcza klasztor, idąc zamąż. Prosta ta fabuła dała okazję do pokazania uroku atmosfery klasztornej, spokoju, ciszy i ukojenia wśród modlitw i prac. Klasztor biały, tonący w kwiatach i słońcu jest prawdziwą oazą błogosławieństwa, do której niewątpliwie niejeden tęskni. Reżyser z artystycznym umiarem odsłonił nam rąbek tego życia we wszystkich jego światłach i cieniach.

cki.

Dok. art.: **„Romantyzm”.**

powrotem do natury, jest to tylko legenda, której nie odpowiadają fakty. Człowiek nie dlatego wypełnia w życiu pewną rolę twórczą, że jest w nim Ja, przypisujące sobie zuchwale praprzyczynowość i pracelowość, ale, że jest realnym zespołem ciała i duszy. Akt intelektualny samopoczucia niczego nie stwarza, jest tylko zimnym, platonicznym refleksem rzeczy i spraw dokonanych w płaszczyźnie fizycznej. Cogito ergo sum — jest sylogizmem błędnym. Myśl czy słowo niczego nie stwarza. Człowiek nie istnieje jako „rzecz sama w sobie” — istnieje fizycznie i dopiero wówczas może myśleć i właśnie dlatego myśli, że istnieje. Jeśli zatem myśli jego odrywają go od podłoża rzeczywistości „w rajską dziedzinę ułudy”, to jest to może przyjemne, ale całkowicie bezpłodne, ba, nawet szkodliwe, gdy przyzwyczaiwszy się żyć w rozrzedzonej atmosferze rzekomo samostwórczej królewskości abstrakcyjnej i dostanie się w zgęszczone powietrze ziemi, gdzie utrzymuje się to, co realnie reaguje, człowiek zostaje tam zgnieciony, jak okręt spadły na dno oceanu.

„Tem jesteś, co wytwarzasz, co wyrasta z twego życia — nie tem, co sądzisz; poznaj naturę swoją, poznawszy, miej odwagę żyć tem strasznem ciałem pracować w niem i iść naprzód”.

Czy to miałoby znaczyć, że Brzozowski lekceważy władzę rozumu, odmawia mu decydującego wpływu na ludzkie życie?

Nie. Twórca „Płomieni” wydaje tylko bardzo surowy sąd o czczym intelektualizmie, i bezpłodnym racjonalizmie.



Z lewej: *Chrystus.*

Z prawej: *Zespół dyr. Chmurkowskiego w misterjum „Tajemnice Mszy św.”.*





NA FALACH CZASU

Polska stała się atrakcją. Przybywają do nas goście pojedyńczo i zbiorowo proszeni i nieproszeni, mili i kłopotliwi. Jednych się wita i drugich się wita, tylko w pierwszym wypadku asystują liczne i rozentuzjazmowane tłumy, a w drugim dyskretna policja, puszczająca tylko należycie wylegitymowanych wybrańców... Jedni chodzą jawnie i swobodnie po mieście i nawet płacą, jak Barthou, uliczne, karne mandaty, drudzy jeżdżą w autach z opuszczonemi zazdrośnie firankami i nieznana jest ani godzina ich przyjazdu, czy przylotu, ani odjazdu czy odlotu, gwoli zapewne bezpieczeństwa przed niepożądanym entuzjazmem mniejszościowym czy większościowym. Jedni są przyjmowani przez władze od dołu aż do szczytu, co do drugich zapowiada się takie przyjęcie, potem reflektuje i donosi o nagłym wyjeździe lub chorobie tego lub owego dygnitarza, wreszcie o poprawie zdrowia i półgodzinnej, prywatnej rozmowie przy herbacie w niewymuszonym nastroju...

Ostatnio wśród gości wyróżnili się dwaj: ambasador nadzwyczajny króla belgijskiego, burmistrz Max, i min. propagandy Rzeszy niemieckiej, dr. Goebbels. Pierwszy przybył, ruszał się, składał i przyjmował audjencje ze swobodą i pogodą, drugi nie mógł jakoś z tych przywilejów korzystać, co go podobno wcale w zachwyt nie wprowadziło, wręcz przeciwnie, wprawiło w bardzo średni humor obrażonego tygrysa w klatce. By uniknąć zbyt jaskrawych demonstracyj tego humoru, postarano się to i owo w programie przyjęcia początkowo obszernym (może i zabardzo), potem zredukowanym (zapewne zabardzo), restytuować. Oczywiście wypadło to sztywnie, na surowo, a więc niestrawnie, czego inteligentny gość nie mógł przecież nie zauważyć. Słowem, w wynikach, miast nastrojów pojednawczych napięcie achillesowe. Widać, że sprawa ceremonjału gościnności nie została u nas należycie wystudjowana, co zatem idzie, że nie umiemy w porę odmawiać lub w miarę przyjmować swych gości. Mniejsza z tem... aż do następnej okazji (gdyby tak np. zjechać zechciał sam Führer, o czem się przebąkuje). Ostatecznie mieliśmy w stolicy min. propagandy Rzeszy, który odczytał w Resursie Obywatelskiej ekspoze ideowe nazich. Minister Goebbels na wstępie zaznaczył, że hitleryzm nie jest na eksport. No tak! Tylko że idei nie trzeba eksportować, one same się eksportują. Mniejsza z tem. Posłuchajmy co ważnego nam powiedział przedstawiciel Niemiec, które poczuły się narodem. Najistotniejsza część wynurzeń dotyczyła tego, cobyśmy nazwali wyrzutami sumienia spowodu zastosowanych metod wobec przeciwników politycznych (obozy koncentracyjne) dalej, co do Żydów, a wreszcie, co do Polski i wogóle tendencyj nazich wobec innych narodów i państw europejskich. Warto sobie to zapamiętać, aby w odpowiedniej chwili porównać z faktami, które nazi rzucą Europie w oczy. Najpierw obozy:

„Co znaczy wreszcie, że parę tysięcy jednostek, wrogich społeczeństwu, zostanie oddanych pod nadzór, jeżeli wzamian za to nastąpi odrodzenie 66-miljonowego narodu (zdaje się, że ten argument znalazł wdzięcznych słuchaczy i naśladowców). Świat ma wszystkie podstawy po temu — ciągnął dalej dr. Goebbels — aby uczciwie i bez uprzedzeń rozważać nowoczesne przejawy kształtowania się państwa w Niemczech, które nie mają żadnego innego celu, jak tylko ten, aby wydobyć Niemcy własnemi siłami z kryzysu i przeto przynieść ulgę troskom całego świata".

Następnie minister przechodzi do omawiania sprawy żydowskiej:

„Należy przypomnieć — oświadcza min. Goebbels — że przed objęciem władzy przez narodowych socjalistów, Żydzi wywierali poważny wpływ na życie duchowe Niemiec, że w dużej części dysponowali ruchomym i nieruchomym kapitałem kraju, że posiadali w swych rękach absolutny i nieograniczony wpływ na prasę, literaturę, teatr i film. W wielkich miastach, jak np. w Berlinie, Żydzi stanowili niekiedy 75 proc. lekarzy i prawników. Przez nadmierne procenty doprowadzili Żydzi rolnictwo do skraju przepaści. Kształtowali oni opinję publiczną, wpływali poważnie na giełdę, posiadali w swej pieczy parlament i jego partje. Jeżeli się zważy, że Żydzi stanowią tylko 0,9 proc. ludności w Niemczech, to trzeba zrozumieć, że obrona przeciwko temu stanowi rzeczy była wprost konieczna. Porozumienie z Polską, wobec której wybitnych przedstawicieli mam zaszczyt dzisiaj przemawiać — jest dowodem, że Adolf Hitler i jego rząd poważnie dążą do obliczonego na dłuższą metę pojednania narodów i do wyrównania sprzeczności, które sprowadziły Europę nad skraj przepaści. Naród, mający poczucie swej godności, może rokować i współpracować jedynie z mocarstwami, które szanują jego honor i które przyznają mu równość. Narodowy socjalizm nie czuje się powołany do wypełnienia międzynarodowego posłannictwa w agresywnem znaczeniu tego słowa. Podczas gdy komunizm marksowski ożywiony jest dążeniem do narzucenia swej własnej ideologji innym ludom i narodom, celem wciągnięcia ich w proces międzynarodowej rewolucji światowej, my szanujemy odrębność każdego narodu i sądzimy, że jedynie na podstawie takiego zrozumienia można wytworzyć trwałą współpracę europejską. Jesteśmy mocno przeświadczeni, że jest to również najlepszy sposób zabezpieczenia pokoju światowego. My, młodzi Niemcy, głęboko jesteśmy przeniknięci świadomością faktu, że niema w Europie problemu, któryby musiał być rozstrzygnięty wojną. Posiadamy również odwagę, by dać wyraz temu przeświadczeniu w obliczu naszego własnego narodu i w obliczu świata".

A no dobrze! Jest jeszcze jedno oblicze: oblicze historji, podobno Janusowe, ale, zdaje się, na każdej z jego stron Niemcy wyczytają ten sam wyrok w razie, gdy swych deklaracyj nie dotrzymają.

Les ennemis de nos amis sont nos amis. I tak może brzmieć znane francuskie przysłowie: Nieprzyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi... Dziwna rzecz, że Francuzi tak bardzo irytują się, ponieważ to przysłowie w drodze z Paryża do Warszawy uległo pewnemu zniekształceniu. Wszystko na świecie ulega zniekształceniu, nawet na bliższe dystanse. Nie łatwo jest się wmyślić w cudze intencje, a mniej jeszcze łatwo je zrealizować, zwłaszcza, gdy wykładnikiem tych intencyj są tak niebezpiecznie eufoniczne przysłowia... Po tym filologiczno-filozoficznym wstępie, przejdźmy się do rzeczy.

Zawsze politycy francuscy wykładali nam, że główna przyczyna i wina niemożności stabilizacji polityki europejskiej leży w Polsce. Gdyby Polska weszła nareszcie w porozumienie z Niemcami (po cichu wymieniało się cenę — zwrot Pomorza), wtedy nastąpiłby w Europie spokój. Dla pokoju na Zachodzie musi być pokój na Wschodzie.

Takie sugestje padały w okresie polityki Brianda, masona, który z drugim masonem, Stresemanem, ułożyli sobie jasny plan działania: przyjaźń francusko-niemiecka kosztem Polski. Oczywista rzecz, że ze stony Francji była to polityka złudzeń, ale tem niemniej tak było. My zaś niebardzo się na to braliśmy, owszem uważaliśmy przyjaźń i sojusz z Francją za cenną rzecz, ale wymaganej ceny Pomorza zapłacić nie mogliśmy w żadnym razie.

Skończyły się czasy genewskiego aranjuezu między Marjanną i Michałkiem. Zmarł Streseman, umarł Briand. Naro-

dził się zato Hitler, który przyjął inną taktykę. Gdy locarniści trwali w fałszywych uściskach politycznej czułości, on postanowił „oderwać się od nieprzyjaciela" vel przyjaciela. Wyszedł więc z Ligi Narodów i zaczął na prawo i lewo tworzyć nowe kombinacje polityczne. Znalazł wdzięcznego medjatora w Mussolinim i omal nie doprowadził przy pomocy tego medjum do paktu czterech. Znów jednak Polska rzuciła swoje veto.

Ostry kurs antysemicki Hitlera wewnątrz kraju nie pomógł mu oczywiście w jego zamierzeniach zagranicznych. Pakt czterech się nie udał. Francja zbyt się zaczęła jeżyć. Niezrażony tem Hitler zwrócił się na wschód ku Polsce i nagle, ku zdziwieniu całego świata, doszło do porozumienia między Polską i Niemcami, na lat dziesięć zawieszającego kwestję rewizji granic. Słowem coś w rodzaju przejściowego Locarno na Wschodzie.

Wbrew wszelkim przypuszczeniom, największe niezadowolenie wywołało to we Francji. W każdymbądź razie zaniepokojono się nad Sekwaną, czy Polska Francji nie zdradza. Byliśmy en disgrace ongiś spowodu niezgody z Niemcami, dziś jesteśmy spowodu zgody z Berlinem. Bo za tą zgodą mają się kryć jakieś nasze koncesje, a to na Anschluss, a to na węgierski rewizjonizm. Jakoby. Więc Paryż jest przerażony. Jakto, Polska, która miała być żertwą, ofiarą rewizjonizmów, nagle się sama zabezpieczyła i jeszcze do tego patronuje innym rewizjonizmom? Coś jest nie w porządku. Kto mówi, że jest w porządku? Ale niech Paryż posmakuje z tej miski, z której nas tyle lat karmiono. Doskonała kuchnia, na maśle perfidji. Trzeba przyznać, że przy tem wszystkiem wzrósł prestiże Polski. Zaczęto się o nas dobijać. Mamy dobrą passę. Był u nas Barthou, a gdy teraz pojechał do Bukaresztu i Białogrodu, to także z myślą o nas.

Pisze „Petit Parisien": „Misja zamyka się prawie wyłącznie w ramach konsolidacji bezpieczeństwa i pokoju. Chodzi o znalezienie systemu, któryby sparaliżował zamysły rewizjonistyczne i tem samem destrukcję granic Europy Wschodniej. Jeden z projektowanych paktów regjonalnych tyczy się właśnie t. zw. Locarna Wschodniego i obejmuje Rosję, kraje bałtyckie, Polskę, Czechosłowację i ewentualnie Niemcy. Drugi pakt t. zw. śródziemnomorski pochłonąłby jeszcze raz Rosję oraz Turcję, Rumunję, Jugosławję, Grecję, Bułgarję, Włochy i wreszcie Francję. W ten sposób od morza Bałtyckiego i Czarnego do Śródziemnego powstałby jeden wielki blok obronny, oparty na gwarancji o nieagresji i pomocy wzajemnej. Na pierwszy rzut oka plany te zdają się być ambitne i zbyt skomplikowane. W istocie sprawa przedstawia się daleko prościej. Udział Rosji sowieckiej w systemie równowagi europejskiej posiada znaczenie pierwszorzędnej doniosłości. Wzamian niewiadomo, czy Niemcy zdecydują się przystąpić do paktu Locarna wschodniego. Anglją już została urzędowo zapytana. Jeśli wypowie się ona przychylnie (w tym samym „Petit Parisien" Albert Jullien zapewniał, że przychylna decyzja Anglji ma wszelkie widoki powodzenia), ustaną wahania Niemiec odnośnie do paktu Locarna wschodniego oraz wahania Włoch odnośnie do paktu śródziemnomorskiego. Właśnie w celu przekonania Anglji Barthou wyjechał 8 lipca do Londynu".

Słowem, co tu dużo mówić. Stało się tak, że teraz na gwałt starają się ludziska o pokój na Wschodzie, któryby swoimi konsekwencjami obejmował i Zachód. Gdy my mówiliśmy, że inaczej być nie może, nie wierzono nam. Najlepiej się wierzy, jak się przymierzy. Teraz o nas zabiegają. Bardzo dobrze. Możemy się trochę podroczyć, byle nie zadługo. A swoją drogą przysłowia się sprawdzają, nawet wtedy, gdy nie jest pewne, jak właściwie brzmią.

Hitleryzm ostatnio ma swą złą godzinę. Sam Führer i jego pomocnicy uwijają się jak muchy w ukropie, czy też jak niedźwiedzie na rozpalonym ruszcie. Goebbels w Warszawie, Riethofen w Paryżu i Londynie, Hitler w eWnecji, w pałacu Strachów.

W kołach niemieckich krążyła pogłoska, że najważniejszym wynikiem konferencji była decyzja, iż kanclerz Hitler poślubić ma cesarzową Zytę, poczem małżeństwo to adoptować ma kanclerza Dollfussa. Wedle innej wersji, po dokonaniu Anschlussu, Rzesza zagwarantowaćby miała kanclerzowi Dollfussowi stanowisko ambasadora przy Watykanie.

Dowcipy te dokładnie odsłaniają intencje, z jakiemi przyjechał Hitler.

W kołach włoskich dowcipów nie opowiadano. Czyniono wszystko, aby, zwłaszcza w kwestji austrjackiej, nie mogły powstać żadne wątpliwości co do stanowiska Włoch, dla których dojście do władzy narodowego socjalizmu w Austrji oznaczałoby zupełną i druzgocącą klęskę na terenie naddunajskim.

Ostatecznie rozmowy kanclerza Hitlera z Mussolinim sprawy austrjackiej nie rozwiązały.

Hitler został przyparty do muru. Gdy wypierał się wszelkiego wpływu na sabotaże austrjackie, Mussolini zaproponował mu uprzejmie, by zechciał przejrzeć pewien album ad hoc przygotowany, gdzie też ad oculos ta sprawa jest uwidoczniona. Hitler wówczas miał się oburzyć: „Jakto, nie wierzycie mi na słowo! Nie będę przeglądał nic!" — i odtrącił album. Pod wpływem wzburzenia gotów był nawet wyjechać natychmiast z Wenecji i z tego pałacu Strachów, nie korzystając z wystawnych przyjęć, jakie na jego cześć urządzono. Lecz otoczenie Hitlera uznało, że byłaby to zbyt śmiała demonstracja, odsłaniająca aż nadto wyraźnie porażkę. Wobec tego Hitler został aż do końca... Po powrocie do Berlina czekały go jednak niewesołe kwestje do załatwienia. Kwestje — jakoby — oddawna dojrzewające, w postaci fermentu wśród szturmówek nazistowskich. Trzeba się było szybko wziąć do przecięcia wrzodu, odkładając na później przyjemność spuszczenia na wodę pancernika „C". Wzamian zato trzeba było spuścić lanie swym nieposłusznym pretorjanom. Tym „nieposłuszeństwem" zastraszono najwidoczniej Hitlera, który, typowy nerwowiec, dał się ponieść podszeptom nowych przyjaciół (Blomberg) przeciw starym (Ernst, Roehm i in.). Wypadki potoczyły się szybko.

W sobotę, dn. 30/VI b. r., wieczorem koszary oddziałów szturmowych zostały obsadzone przez Reichswehrę. Policja min. Goeringa okazała się po stronie Hitlera. Akcja ta pozostaje niewątpliwie w związku z okolicznością, że wszystkie oddziały szturmowe miały rozpocząć z dniem następnym jednomiesięczny urlop. Spowodowało to mniemanie wśród oddziałów szturmowych, że ulegną one rozwiązaniu. Fakt ten doprowadził do otwartego konfliktu pomiędzy rządem Rzeszy a szturmowcami.

c—ki.



W celu wydobycia skarbu złota z okrętu „Lubine", który przed laty zatonął u wybrzeży Holandji, została zorganizowana specjalna ekspedycja. Na zdjęciu transport dzwonu podwodnego, który będzie zastosowany w akcji poszukiwania zatopionego skarbu

Z PIŚMIENNICTWA

P. JOSEPH LUCAS P. S. M.: Mutter, forme uns. Pallottiner Verlag, Limburg a/Lahn. 1933, str. 480. Cena opr. 4.50 RM.

Nowa książka znanego i cenionego w Niemczech pisarza religijnego, ks. J. Lucasa, pallotyna, jest przeznaczona dla matek i wychowawczyń. W 55 krótkich rozdziałach snuje autor bogatą kanwę swych wskazań pedagogicznych. Aczkolwiek te wskazania są oparte na najnowszych zdobyczach wiedzy pedagogicznej, to jednak książka ks. Lucasa nie jest książką naukową. Forma opowiadania lekka, często przybierająca ton gawędziarski, liczne przykłady ze współczesnego życia rodzinnego, jasna i przekonywująca ilustracja świateł i cieni w dzisiejszem wychowaniu rodzinnem — czynią tę książkę dostępną dla każdej i najprostszej matki. Autor przemawia serdecznie, zagrzewa, podnosi, kieruje. Podkreśla przedewszystkiem wysoką godność matki, współtwórczyni z Bogiem, lecz i współwychowawczyni z Bogiem Dziecko nie jest zabawką, nie jest też niepożądanym intruzem, ale jest podarunkiem Bożym którego należy strzec i wychować na święte dziecko Boże Jak tę trudną i niejednokrotnie skomplikowaną pracę wykonywać, tego właśnie uczy powyższa książka. Dostarczy ona również duszpasterzom wiele świeżego i bogatego materjału do pogadanek i wykładów dla matek. Z całego serca należałoby jej życzyć rychłego polskiego przekładu. Wartość książki podnosi jeszcze jej nadzwyczaj czyste techniczne wykonanie i wykwintna, artystycznie pomyślana okładka.

St. W.

O. DR. ROMUALD KOSTECKI, dominikanin: **Św. Albert Wielki.** — Lwów. Wyd. OO. Dominikanów 1934. str. 178. Cena 2.80.

„Święty Albert — czytamy w przedmowie — jest postacią niezwykłą. Jest chlubą nietylko zakonu dominikańskiego, na którego niwie wyrósł, ale i całego Kościoła, zarówno ze względu na świętość heroiczną, jaką się odznaczał za życia, jakoteż przez swą rozległą wiedzę, która zjednała mu nazwę „Doktora Powszechnego".

Wszechstronność jego umysłowych uzdolnień, mnogość najrozmaitszych talentów, jakie posiadał, doskonałość cnót — czynią zeń niewątpliwie jedną z największych, najwspanialszych postaci wśród świętych Pańskich.

Dobrze się więc stało, że pojawia się po polsku monografja św. Alberta. Autor jej w oparciu o bogate źródła dał jasny i barwny życiorys świętego a przytem skreślił wiernie jego portret psychologiczny, podnosząc zwłaszcza wielką pobożność tego uczonego męża. Pisarz przeprowadza bardzo ciekawą, dobrze umotywowaną i barwną paralelę między św. Albertem i św. Tomaszem, dwóch służebników „Pani Prawdy".

O NOWE KSIĄŻKI DLA WARSZAWSKICH BIBLJOTEK POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ.

Tydzień Książki Polskiej minął i mimo bardzo ciężkich czasów, wiele osób ruszyło do księgarń, by kupić nową książkę... Książkę przeczytano i złożono w szafie... Bezrobotny inteligent, lub mało zarabiająca młodzież, nie mogąc kupić książki, śpieszy do najtańszej bibljoteki, by za najniższą opłatą (50 gr. miesięcznie), wypożyczyć nową książkę. Niestety, Warszawskie Bibljoteki Polskiej Macierzy Szkolnej nie były w stanie w roku bieżącym zakupić nowości. Bierze więc czytelnik książkę, w najlepszym razie, z przed 2-ch lat. Patrząc na tych ludzi, którym dobra książka pozwoli choć na parę godzin zapomnieć o smutkach szarej ich doli, Wydział Miejski postanowił zastukać do posiadaczy książek nowych o złożenie ich w ofierze Warszawskim Bibljotekom Polskiej Macierzy Szkolnej. Wydział Miejski Polskiej Macierzy Szkolnej Krakowskie Przedmieście 7 m 4, tel. 692-23) posyła po zaofiarowane książki.

Almanach des Vacances pour les Jeunes. Ed. Bonne Presse. Paris 1934. 5, rue Bayard. Fr. 1.25. P. 127.

L'almanach des Vacances — to piękny towarzysz młodzieży gimnazjalnej w czasie wakacyj. Już sama strona zewnętrzna pociąga. Ozdobna okładka, wnętrze bogato ilustrowane, przedstawione barwnie, udatne karykatury — oto co pociąga na pierwszy widok. Treść niemniej barwna i urozmaicona. Są tu piękne nowelki, opowiadania pouczające, nowe gry i zabawy, anegdotki historyczne, humor i śmiech, — słowem, czego pragnie i czem się cieszy serce młodzieży.

„Kalendarz" ten, sprawi młodzieży dużo radości, a równocześnie pogłębi i rozszerzy znajomość języka francuskiego Wypełni przyjemnie niejedną chwilę, skróci długie wieczory zimowe, lub słotne dni.

Na książkę tę zwracamy uwagę rodziców, nauczycieli i starszych. Nadaje się dobrze na podarek. Jest przytem niedroga (cena 0,50 zł.). **M. R.**

Cenna monografja. Z okazji kanonizacji Księdza Jana Bosko, wydali salezjanie znakomitą monografję wybitnego francuskiego pisarza, A. Auffray, p. t. **Św. Jan Bosko.**

Okazały tom, przeszło 400 stron druku z licznemi drzeworytami w tekście, na pierwszorzędnym papierze, kosztuje tylko 5,40, z pocztą i opakowaniem 6,00 zł.

Książka ta powinna się znaleźć w ręku każdego katolika, gdyż dobro, jakiego się po niej spodziewamy jest prawie pewne. Wiadomo, że św. Jan Bosko, założyciel salezjanów, jest nazywany „świętym naszych czasów" w całkowitem tego słowa znaczeniu. Jest on wcieleniem i praktycznem zastosowaniem ideałów ewangelicznych w każdej dziedzinie, nietylko kapłańskiej i duszpasterskiej, ale jako organizator, budowniczy, działacz, pełen inicjatywy i entuzjazmu dla sprawy Bożej, pobudzi czytelnika do czynu i mimowoli pociągnie urokiem swego przykładu. Zda się, że życie całe idzie aleją różaną, lecz pod temi różami są ostre kolce, które do krwi ranią jego stopy. Ale on zawsze idzie radosny, wytrwały i niezwyciężony, tak, że ci, co go widzą wołają: „Ksiądz Bosko stąpa po samych różach. Ach jaki on szczęśliwy!"

Warto tę książkę przeczytać! Dlatego polecamy ją jak najszerszej propagandzie, zwłaszcza wśród rodziców, wychowawców i kapłanów.

X. CHARSZEWSKI: Nie kanonizować, lecz anatematyzować. 1934., str. 36. Cena 1.50 zł.

Z właściwym autorowi temperamentem mamy tu zgromadzonych kilka szkiców, dotyczących różnych zagadnień politycznych i literackich.

J. GIŻYCKI: Biali i czarni. Gebethner i Wolff. 1934, str. 364.

W książce wyczuwa się odrazu, od pierwszej stronicy, nurt bezpośredniości. Autor pisze o tem, co dokładnie widział, zwiedził, zbadał. Pokazuje więc w rezultacie Afrykę autentyczną, bez sztucznego retuszu, bez szminki poematycznej, bez zakłamania oficjalnej propagandy. Autor poddaje sumiennej rewizji stosunki, ludzi i rzeczy, i czarne nazywa czarnem, a białe białem, z tem zastrzeżeniem, że zarazem politykę białych wobec czarnych trzeba malować na czarno. Rola białych w Afryce nie znajduje w Giżyckim bezkrytycznego glossatora. Wręcz przeciwnie, mówi on szczerze i otwarcie całą prawdę w oczy i oskarża kogo wypadnie o winy polityki kolonizatorskiej.

c—ki.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Rzadko zdarza się człowiek tak duchowy, któryby ogołocił się ze wszystkiego.

Albowiem, prawdziwie ubogiego w duchu i wolnego od wszystkiego stworzenia, któż znajdzie? Daleko i aż na ostatecznych granicach cena jego.

Choćby człowiek dał wszystką majętność swoją, jeszcze to niczem jest.

I gdyby odbył wielką pokutę i to mało.

I gdyby posiadł wszelką naukę, jeszcze mu daleko.

I gdyby miał wielką cnotę i pobożność bardzo żarliwą, jeszcze mu wiele braknie, to jest braknie mu tej jednej rzeczy, która mu jest najpotrzebniejsza.

A która to jest?

Oto, ażeby, opuściwszy wszystko, siebie opuścił, i z siebie samego zupełnie się wyzuł, nic zgoła nie zachowując z miłości samego siebie.

A gdy wszystko uczyni, co wie, że czynić trzeba, niech czuje, że nic nie uczynił.

Tomasz à Kempis.
O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

DOM POLSKI OTWOREM DLA POLAKÓW Z ZAGRANICY

W chwili, kiedy bieżący numer „Rodziny Polskiej" dojdzie do domów polskich, Polacy z zagranicy już będą obradowali w gmachu sejmu naszego o celach zjazdu, informowani o potrzebach kraju, upewniani, że tylko wysiłkiem całego polskiego narodu, a więc i przedstawicieli tych ośmiu miljonów rodaków, zamieszkałych na obcych ziemiach, możemy dogonić cywilizację, która swobodnie rozwijała się w wolnych politycznie warunkach innych krajów. Toteż ostatnie ogólne zebranie Oddziału Kobiet L. M. K. było tylko zwołane poto, aby, objaśniając o programach obchodu „święta morza", zlotach młodzieży do Gdyni, spławu na Wiśle naszych wioślarzy, położyć nacisk na ważną sprawę zjazdu Polaków z zagranicy.

Stąd wypłynął projekt od zarządu, aby, o ile tylko będzie wolna potemu chwila, członkinie nasze otoczyły swemi towarzyskiemi zaletami przyjezdnych i grupami zapraszały ich do swoich domów. Zupełnie inne wrażenie da miasto, rzeka, spław, gmach, teatr, bibljoteka, a inne atmosfera domu polskiego. To i owo przyjezdnemu usunie się z pamięci, Filiżanka herbaty, wypita przy stole rodzinnym, w serdecznej atmosferze, przy poruszanych, z natury rzeczy tematach, bezpośrednio zbliżających, może dać tę sumę wrażeń — które nie zostaną zapomniane.

Przy bliższem zetknięciu, tu i ówdzie zrodzi się chwila nawiązania trwalszego stosunku. Wymienią się nazwiska, adresy, może dalsza korespondencja. może nitki trwałej znajomości nas powiążą i to będzie błogosławiony rezultat.

Wszystkie zebrane panie jednogłośnie projekt ten życzliwie przyjęły. Należąc do komitetu wykonawczego, będziemy skrzętnie kierowali tak nasze chęci, aby nie odwracając uwagi od głównego zadania i celów programu — w domach naszych Polacy z zagranicy zastali nietylko otwarte gościnnie drzwi, ale wyczuli tętno naszych serc, szczerą dla nich przejętych życzliwością.

W imię miłości, która w tej chwili ze szlachetnej inicjatywy Towarzystwa, wiążącego się z Polakami z zagranicy — tysiące ich zgromadziło w Warszawie, wierząc w tej miłości twórczą siłę, zapraszamy Polaków z zagranicy do naszych polskich domów, których drzwi stoją dla nich — otworem.

CZŁONKINIE ODDZIAŁU KOBIET L. K. M.

WYDZIAŁ KOBIECY

UNJI ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH PRACOWNIKÓW UMYSŁOWYCH.

Z odległości trzech pokoleń patrzę na dzieje rozwoju pracy kobiet wogóle. Pamiętam te czasy, kiedy panny z tak zwanych „dobrych domów" nie wychodziły same na ulicę; musiała im towarzyszyć służąca albo lokaj, idący parę kroków za niemi.

Pamiętam potem pojawienie się „Marty" Elizy Orzeszkowej, tej bohaterki, mającej biedę a nieumiejącej sobie z życiem poradzić, znajdując w samobójstwie jedyne jego rozstrzygnięcie. Książka, która zrobiła wielkie wrażenie na nasze młode umysły. A potem pamiętam bojową pracę pań Reinszmitowej i Bojanowskiej nad zdobyciem jeśli nie praw, to bodaj jakichtakich przywilejów dla pracujących kobiet. Boć bywały zastępy kobiet, zwłaszcza po ruinie wsi, po konfiskatach majątków, które w mieście, z resztkami mienia lub bez nich nawet, szukały w pracy ratunku, a nie umiały specjalnie niczego coby im mogło dać chleb. Potem przyszło pojawienie się dwu pierwszych doktorek w stolicy: pań Dobrskiej i Ciszkiewiczowej. Wyczekiwałyśmy często pod bramą mieszkania na ich ukazanie się, a potem krok w krok szłyśmy za niemi, żeby się im zbliska przypatrzeć.

A potem, już coraz częściej pojawiały się kobiety wyspecjalizowane w jakimś kierunku pracy zarobkowej i te już chodziły same i nie żenowały się brać za pracę pieniędzy. Jedna z moich starszych sióstr była nauczycielką na pierwszorzędnej pensji pań Kurchanowiczowej i Skłodowskiej, a druga pierwszą drzeworytniczką, mającą stałą pracę w „Tygodniku Ilustrowanym". To było przed pół wiekiem z okładem. Cała plejada kobiet zaznaczyła się w literaturze. Po Hofmanowej i Śmiechowskiej przyszły: Orzeszkowa, Millerowa, Marcinowa, Ostoja, Kościałkowska, prowadząc ideową puściznę po Entuzjastkach. Dziennikarki takie, jak Bronisława Neufeldówna i Eugenja Żmijewska poważne w naszej codziennej prasie zajęły stanowisko. Aż nareszcie Marja Skłodowska-Curie uczona ze sławą na cały świat głośna — położyła kres twierdzeniom — o mniejszej pojemności mózgu kobiecego i świat zgodził się z jej równemi prawami, które sobie rzetelnie wysłużyła.

Jeszcze w roku 1912 na „VII Międzynarodowy Kongres dla Praw Kobiecych" do Budapesztu jedzie Zofja Daszyńska-Golińska, gdzie głównie nie chodzi o przeprowadzenie prawa wyborczego dla kobiet, ale chodzi o przeprowadzenie idei, że płeć nie może stanowić przeszkody przy uzyskaniu praw politycznych. A w Krakowie w tym samym czasie odbywa się wiec, zwołany już przez miejscowy komitet wyborczy kobiet w sprawie wyborów do sejmu. Przewodniczyła p. Weychert-Szymanowska, referat wstępny wygłosiła p. Zofja Daszyńska-Golińska, wykazując dotychczasowe upośledzenie społeczne, ekonomiczne i prawne kobiet. Dr. Bandrowski oświadczył się za zupełnem uprawnieniem kobiet, koniecznem dla podniesienia życia społecznego i narodowego. Ale narazie zostaje tylko prawo głosowania przez pełnomocnictwo, chociaż oczywiście i profesorowie Stroński i Bujak i Daszyński są stronnikami równouprawnienia.

Ewolucja robi swoje. Życie — ten mistrz-regulator wszelkich zamierzeń ludzkich — porządkuje świat.

Mamy prawa pełne. Mamy posłanki, senatorki, profesorki uniwersytetów. Wiele specjalistek na każdem polu. I mamy w tej chwili: Wydział Kobiecy Unji Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych, którego sekcja propagandowo-prasowa podjęła **obronę praw do pracy kobiet.**

Sekcji przewodniczy p. A. Paradowska-Szelągowska. Sekretarkami są pp. H. Pawłowska i M. Sierakowska; członkiniami pp. H. Milewska-Wetmanowa i L. Prószyńska.

Przedstawicielkami prasy na zebraniu były pp.: H. Szyllerowa, Grzymała, Z. Drabikowa, J. Krawczyńska, J. Jabłowska, Z. Zaleska, Gadomska.

Wydział kobiecy, zapoczątkowany przez posłankę p. E. Waśniewska ma na celu: obronę interesów kobiet pracujących, badanie warunków pracy, organizowanie nowych zawodów kobiecych, organizowanie nowych placówek kobiet, przygotowanie do nowych zawodów. W tej chwili zgłosiły swój udział w pracach sekcji uczestniczki pracy trzynastu związków zawodowych, przysyłając swe delegatki.

Przewodnicząca „obronę interesów kobiet pracujących wysuwa na plan pierwszy w chwili obecnej, gdy prawo kobiet do pracy jest tak bardzo atakowane". A uważając zagadnienie tego prawa za sprawę najpilniejszą do wszechstronnego jej poznania, sekcje ogłoszą ankietę, którą prześlą kobietom pracującym do wypełnienia. Przewodnicząca prosi obecne dziennikarki do otoczenia opieką tak ważnej sprawy, jaką jest, dziś zarobkowa praca kobiet. I my powrócimy nieraz do omówienia zagadnień pierwszej wagi w naszem życiu, w którem świat zgodził się na przyznanie nam **równych praw**, rzetelnie przez nas samych sobie wysłużonych. Ale na które życie nie chce się godzić, bo obowiązki, które na nas kładzie: macierzyństwo, wychowanie dzieci, utrzymanie rodziny, domu i ładu w nim, co wszystko razem łączy się z warunkami ekonomicznemi i etycznemi naszego bytowania, to jeszcze karty otwarte do przemyślenia i zapisania ich nowemi zdobyczami twórczej myśli. Mamy już dziś, na szczęście, całe szeregi pracowniczek, które poważnie patrzą w życie a do badania jego głębi są przygotowane.

L. Kotarbińska.

NIE DAJMY GINĄC SIEROTOM!

„Tyle nasion spotyka zagłada,
Tyle kiełków wschodzących marnieje,
Tyle pączków przedwcześnie opada,
Najpiękniejsze budzących nadzieje".

My w Polsce nie mamy żadnej egzystencji na stracenie. Bieda się szerzy, siły słabną, organizmy się wyczerpują, odporności ludziom brak, samobójstwa z przerażającą siłą mnożą się — a zostają **sieroty**. Sieroty samotne, biedne, bezradne. Wszystkie dzieci osierocone całej Polski powinny być naszemi dziećmi. Nie możemy ich zostawiać bez opieki. Kiedyś zaprzęgniemy je do pracy, ale dziś to maleństwo jeszcze najwięcej potrzebuje naszych **serc**. Nie dajmy im ginąć z głodu. Chodzić w łachmanach. Żebrać po ulicy. Psuć się zanim dojrzeją.

Każda kobieta powinna bez namysłu, zaraz, natychmiast, bo sprawa pilna bez szukania pośrednictwa, spojrzeć koło siebie i znaleźć napewno bardzo łatwo jakąś samotną ludzką istotę, wyczekującą pomocy. Nie może podołać, bo sama ma niewiele, niech zaraz porozumie się z jedną drugą znajomą. Ta da obiad, tamta uszyje koszulkę, inna sukieneczkę z kawałków, które znajdzie w domu i całość się złoży.

Chwila jest ciężka, ale przetrwaliśmy sto lat niewoli, wojnę, która, zdawało się, niesie klęski niedopowetowania, więc przetrwamy, z Bożą pomocą i tę dobę może najdotkliwszą — bezrobociem przymusowem, ale przetrwamy ją jeśli rozbudzimy w sobie ofiarność i tę dobrą wolę, jaką każda kobieta, z wrodzonym sobie instynktem macierzyńskim, otoczy sieroctwo.

Przecież są dzieci, we wszystkich sferach już dziś bo bieda ogarnia nas wszystkich w większym lub mniejszym stopniu, ale wszyscy odczuwamy jej wkradanie się do nas, otóż są dzieci, które nie idą do szkoły, bo nie mają bucików, bo ubraniu już nawet łaty nie pomogą, bo są przy-

tem i głodne i blade, są koło nas napewno. Zbliżmy się do nich. Niech te dzieci pamiętają, że w ciężkich chwilach sieroctwa ktoś im pomagał. Ktoś okrył, ktoś nakarmił, ktoś ułatwił chodzenie do ochronki, przedszkola czy szkoły. Ktoś matki, lub jeszcze bardziej bezradnego w takich razach ojca spytał, w czem sierotom najlepiej pomoc nieść można. Róbmy to. Ten posiew nie pójdzie na marne. Bo nie marnieje nic, co jest dobroci wynikiem. Taka pomoc, taki nasz czyn wpłynie na urobienie się charakterów, a tych nam brak. Wpłynie też na nas samych, bo da ten spokój — który daje tylko rzetelne spełnianie obowiązków i to zadowolenie, jakie jest zawsze, kiedy z własnej, nieprzymuszonej woli człowiek wyrasta ponad egoizm i wkracza w lepsze dziedziny uczuć chrześcijańskich, wskazujących nam tyle wspaniałych dróg i ścieżek dla zadowoleń własnej duszy. Opieką nad dolą sierocą uprawiamy grunt pod przyszłe plony, niedopuszczając „marnowania się kiełków wschodzących", bo na żadne marnotrawstwo, a tem więcej marnowanie się ludzi pozwolić nie możemy w Polsce odrodzonej, wolnej w okresie tworzenia się jej duchowego. Wszystko co dziś dajemy, składamy na ołtarzu lepszego jutra. Z tą wiarą żyjmy, nie upadając ani chwili na duchu.

R.

„DZIECKO PATRZY, SŁUCHA, SĄDZI"

Szukam wśród dawnych jeszcze przedwojennych numerów, jakiejś potrzebnej mi notatki w rocznikach pisma pod tytułem „Nasz Dom", którego byłam przez lat dziewięć redaktorką i spotykając mnóstwo artykułów, świadczących jak szybko życie odwraca karty naszych losów, spotykam i takie, które równie zajmujące mogą być dziś, jak były niemi przed laty dwudziestu.

I odrazu, bez wahania, przychodzi mi myśl podzielenia się treścią jednego z nich z naszemi czytelniczkami „Rodziny Polskiej", tem więcej, że podpisane imię doskonałej w swoim czasie pedagogiczki, świetnej przewodniczki młodych pokoleń, p. Jadwigi Warnkówny, zapewnia mu należne znaczenie.

Artykuł odnosi się do dziecka, a więc temat, który nie zna obojętnych.

„Mała Keti wypróżniła cukierniczkę — opowiada nam autorka artykułu — a gdy ją zapytano, co się z cukrem stało, odpowiedziała, czerwieniąc się i jąkając: — Mój piesek zjadł cukier.

Było to jej pierwsze kłamstwo.

Matka, ojciec, bona, służąca — jednem słowem wszyscy domownicy nie mogli się uspokoić i pełni oburzenia powtarzali dziecku, jak można tak strasznie kłamać. Matka dała nawet córeczce kilka klapsów, a bona, wieczorem, po pacierzu, starała się w długiej nauce moralnej swą wychowankę przekonać, iż kłamstwo jest bardzo ciężkiem przewinieniem, i że kto kłamie, nie pójdzie do nieba. Kazanie swe zakończyła tem, że sławny Jerzy Washington nigdy w życiu nie skłamał i dlatego spewnością jest w niebie.

Dziewczynka spłakana i zbolała położyła się spać. W nocy budzi się i widzi, że bona nie śpi, lecz czyta książkę w żółtej okładce. Keti wie, że to powieść.

Nazajutrz bona zaspała i tłumaczy się pani wobec dziewczynki, że nie obudziła się o zwykłej porze, gdyż musiała cerować pończoszki Keti i stąd późno się położyła...

Tego samego dnia usłyszała dziewczynka, że jedna ze służących przyrzekła żołnierzowi pójść z nim w niedzielę na tańce, choć to nie był dzień dla niej wolny. A w niedzielę dostała mimo to pozwolenie — powiedziawszy pani, że musi pójść na pogrzeb ciotki. Dalej spostrzegła dziewczynka, że druga służąca włożyła bucıki jej matki. A kiedy matka nazajutrz szuka ich — służąca objaśnia, że są w szafie gościnnego pokoju — oddawna i przynosi je.

Na przechadzce pyta się jej znajomy pan, kiedy ojciec bywa w domu. — O szóstej po południu — odpowiada. A kiedy ten pan przyszedł, choć nic nie robi, każe mu powiedzieć, że jest zajęty — a że mama — wyszła, choć jest w domu i nie przyjmuje go.

W kilka dni bona zapytuje wychowanki: — Będziesz zawsze grzeczna, nie będziesz nigdy kłamać, będziesz się starała pójść do nieba? — Nie chcę iść do nieba — odpowiada Keti — gdyż tam byłabym tylko z Panem Bogiem i... Jerzym Washingtonem.

Więc tak. Niedość dziecku prawić perory. Przedewszystkiem jedno trzeba pamiętać, że ono: patrzy, słucha i często więcej widzi, aniżeli to przypuszczamy.

Doświadczona kierowniczka ostrzega rodziców przed sprzecznością: zasad, czynów i słów. Dodając w konkluzji przytoczonej anegdotki swą długoletnią pracę i baczną obserwacją zdobyte przekonanie, że: „Zły przykład i brak konsekwencji w postępowaniu, to największe błędy wychowawców, przynoszące niepowetowane krzywdy — jakie czynią dziecku". Bo dziecko wychowuje się od pierwszego dnia życia, najczęściej zbiera się to — co się posiało.

L. K.

HAFTY Z TOMASZOWA MAZOWIECKIEGO

Czytając przed kilku laty w czasopiśmie „Lud" artykuł Tadeusza Seweryna o haftach w Opoczyńskiem, dowiedziałam się, że w dniu św. Stanisława (8 maja) bywa w Tomaszowie odpust, na który zjeżdżają się z okolicznych wsi i miasteczek wieśniacy w barwnych strojach ludowych.

Okazja nie do pogardzenia dla zbieraczki haftów ludowych; uzbrojona więc w aparat fotograficzny, kawałek płótna z igłą i notes z ołówkiem, pojechałam wczesnym rankiem pociągiem wycieczkowym z Warszawy.

Dzień był słoneczny, toteż w pobliżu Tomaszowa wszystkie szosy i ścieżki po obu stronach toru kolejowego roiły się od pieszych i jadących na odpust.

Na dworcu w Tomaszowie tłum ludzi wesoły i gwarny skierował się w stronę miasta, oddalonego od stacji około 3 kilometry. Pełna radości szłam wśród wieśniaków, wypytując się o zwyczaje dawne, o strój wiejski i hafty ludowe.

Opowiadano mi chętnie i przyjaźnie, gdyż wieśniacy są szczerze życzliwi, jeżeli przychodzi się do nich jak do równych sobie i nie okazuje wyższości. Kobiety zdejmowały wierzchnie kaftany, by pokazać mi wyszycia na rękawach koszul, niektóre rysowały mi w notesie, jak się „szyje" na koszuli, gdyż haft na bieliźnie nazywa się „szy-



Haft z Tomaszowa Mazowieckiego.
Fot. Marja Stefkowa.

ciem". Haft biały, złożony z dziurek i listków wypukłych, to „szycie białe", kolorowy zaś, to „wyszywanie".

Szliśmy blisko godzinę, gdy ozwały się dzwony kościelne, wzywając na nabożeństwo. Kościół był pełen strojnych kobiet i mężczyzn, wokoło kościoła, na cmentarzu, otoczonym murami, w cieniu drzew siedziały dziewczęta, mieniące się barwami tęczy wełnianych spódnic i białą koszul wyszywanych na rękawach, gorsach i krezach.

Po skończonem nabożeństwie otoczyli mnie, czyli mój aparat, prosząc, by ich fotografować. Jedną z tych fotografij podaję miłym Czytelniczkom, gdyż łatwo ją odrobić na samodziałowej sukni. Wśród ząbków niebieskich, robionych do nitki w samodziale, umieszczone są kwiatki identyczne w formie, lecz odmienne w barwie. Listki zielone i obsada pączka, który barwą odpowiada kwiatkowi. I tak jeden kwiatek ma listki niebieskie, środek żółty, to i pączek jest żółty; drugi kwiat różowy z czerwonym środkiem, ma czerwony pączek. Po obu zewnętrznych stronach niebieskich ząbków dano podwójną czarno-żółtą stebnówkę.

Pomimo, że naramiennik łączył się ściśle z rękawem koszuli, odgraniczono go powietrznemi białemi ząbkami. Ząbki takie robi się w ten sposób, że przewleka się białą nic Nr. 25, chwytając rąbek płótna na dwóch punktach od lewej strony ku prawej i spowrotem, a następnie dzierga się w powietrzu jak pętelkę lub ząbki.

Haft ten ozdobi bardzo ładnie jasną suknię, a można go wyszyć bez trudu. Nie można go jednak umieszczać na ukosie, gdyż wszystkie ściegi muszą być wykonane na nitkach tkaniny. Nie dajmy się nigdy namówić na wykonywanie haftów ludowych przez kanwę, lecz stawiajmy śliczne ściegi wprost na tkaninie, zwłaszcza, że samodziały są już obecnie tak równo tkane, że haftowanie takie nie sprawia żadnych trudności.

Marja Stefkowa.

CO NOSIĆ? JAK SIĘ UBIERAĆ?

Nic łatwiejszego dziś jak ubrać się tanio i ładnie. Gładkie sukienki z pelerynką, sukienki, z których prawie każdą samej uszyć można, w kwiatki, paski, kratki, barwne, wesołe, same się śmieją, a, daj Boże, żeby i ta, która je nosi, równie pogodną zawsze była i uśmiechem darzyła wszystko i wszystkich dokoła.

Kapelusiki dawno nie były tak zręczne, tak pięknie strojące główkę, jak te małe, okrągłe nakrycia głowy, których rondko według woli nagiąć można.

Kostjumy gładkie z krótkiemi żakiecikami i barwną pod niemi bluzką, z kokardą u szyi, to suknia niezbędna w mieście.

Dłuższe żakiety bardzo wdzięcznie harmonizują się z sukienką, nawet różniąc się w kolorze. Praktyczne one nie są, bo jednak mną się łatwo. Jest to ubranie na ulice, ale nie do tramwaju, którym jednak w dużem mieście posługiwać się trzeba, czy kto chce czy nie chce, bo miasto rośnie, odległości się wydłużają, a dzień ma zawsze tylko 12 godzin i czasu na wszystko nie starcza.

Noszone są bardzo gumowe lekkie płaszcze, co w deszczowe dni, jakich nam niebo nie szczędzi, są bardzo wygodne.

Kolory wszystkie mają powodzenie. Począwszy od czarnych z białem toalet, które, bodaj czy nie wyróżniają się zawsze dystynkcją na ulicy, są bardzo modne zielone kolory, przyjęte przez warszawianki gościnnie. Toteż całą gamę odcieni podziwiać można na zgrabnych panienkach, z kapeluszami tej samej barwy, wszystko gładkie, bez żadnych wyszukanych ozdób, co właśnie stanowi ich wykwintną cechę.

Bardzo piękne są sukienki, w Zakopanem wyrabiane, bogato ozdobione bardzo kolorowym haftem. Młodym buziom w nich wybornie, wzajem się dopełniają swym wdziękiem.

Płócienne suknie w tym roku trzymały i trzymają prym. Mną się łatwo — skarżą się panie. Ale łatwo się prostują. Dość wieczorem zlekka odwróconą na lewą stronę spryskać dobrze czystą wodą, żeby nazajutrz była jak wyprasowana. Pisząca te słowa, zawsze, zanim było hasło „lnu" rzucone wśród nas, nosiła płócienne suknie, chodząc w nich nawet po Paryżu i nie miała żadnego trudu z prasowaniem, natomiast wiele przyjemności spowodu zapytań ciekawych paryżanek o jakość materjału, który im się podobał, a który chętnieby nabyły.

Doskonałe w noszeniu jest płótno w postawie z konopiami łączone i to się zupełnie nie gniecie.

Wystawa lnu u nas była nietylko zajmująca, ale piękna i pożyteczna. Oby jak najlepsze dała rezultaty i w następstwie zasiliła nasze wyroby ludowe po wsiach. Obrusy, serwetki, kapy na łóżka — wszystko to dziś należy do rzeczy najmodniejszych. Żakiety białe do czarnych spódniczek, nawet woreczki są dziś bardzo używane — z płótna.

M.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć trzeba, że drugi Zjazd Polaków z zagranicy zgromadzi się w naszej stolicy w dziesiątkach tysięcy. Że, między innemi, na terenie Muzeum Wojska będzie urządzona wystawa pod mianem „Polska i Polacy w świecie", że trwać będzie przez cały sierpień, że każdy, ale każdy kto się czuje Polakiem, a innych niema wśród nas — Wystawę zwiedzić powinien. Niedoceniamy, ani naszych dobytków pracy, ani dokumentów naszej kultury, ani wysiłku zbiorowego od czasu, kiedy mamy wolność. Korzystajmy więc z gigantycznej wprost działalności Komitetu Wykonawczego i złóżmy mu choć drobny hołd gremjalnem zwiedzaniem wystawy, pouczającej, pięknej i dla tych — którzy przybędą — niezbędnej, bo dającej obraz naszego dorobku.

Na Wystawie — przybyłym drogim naczym Gościom z całego świata — towarzyszy hasło: „Oparty o mocną Polskę, w zgodnym wyścigu pracy — zdobywaj świat!"

Wiedzieć należy, że niestrudzone w swej pracy „Towarzystwo pomocy dzieciom i młodzieży polskiej w Niemczech", w tym ciężkim czasie, sprowadza jednak 5 000 dzieci i umieszcza je na kolonjach letnich. Doceniając wielkie znaczenie w staraniach o utrwalenie polskości w dzieciach, których rodzice zamieszkują Niemcy — wszyscy winniśmy bodaj przystąpieniem do Towarzystwa i opłacaniem składki, pomoc nieść najszlachetniejszym wysiłkom.

Wiedzieć koniecznie trzeba, że poznanie przepisów i oczywiście pilne strzeżenie ich zachowania, daje ten codzienny spokój, który jest niezbędny do normalnej pracy. Między innemi, trzeba znać wszystkie zalecenia, nawet nakazy, w dziedzinie żeglugi. W chwili, kiedy opuszczoną dotąd Wisłę zaczynamy nawiedzać, a dziesiątki różnego gatunku sprzętu żeglarskiego uwija się po jej wodzie, trzeba, chronić się od kar, a nadewszystko od wypadków, które właśnie często powoduje samorzutne gospodarowanie po Wiśle, wiedzieć, między innemi, że **za jazdę kajakami bez pozwolenia** płaci się kara i że już dziesiątki osób jej podległo. Starostwo grodzkie praskowarszawskie wymaga: **dowodu, od każdego kajakowca, umiejętności pływania i posiadania sprzętu ratowniczego.** Ukarano też grzywną od 5 do 50 zł. kąpiących się w miejscach niedozwolonych. Te słuszne wymagania i nakazy, życzyć należy, aby były najsurowiej przeprowadzane, zwłaszcza że nasza wybujała często samowola powoduje ciężkie wypadki.

Wiedzieć muszą panie matki, które mają synów harcerzy, że w początkach sierpnia, podczas zjazdu Polaków z zagranicy, przybędzie dużo wycieczek harcerskich do Warszawy. Młodzież nasza oddawna jest w porozumieniu z zespołami młodzieży z zagranicy i przygotowuje się do godnego przyjęcia druhów-harcerzy. Zaniedbana, naogół droga — korespondencji została przez młodzież wskrzeszona, przyczyni się niezawodnie do nawiązania serdecznych i opartych na duchowem podłożu stosun-

ków. Bo verba volant — scripta manent mówi przysłowie. Słowo ulata — a pismo zostaje i przyczynia się do trwałości w myśli i pamięci. Wszelkich informacyj w sprawie zjazdu młodzieży — udziela: Podsekcja Opieki Szkół Krajowych nad szkołami polskiemi zagranicą, istniejąca przy Radzie organizacyjnej Polaków z zagranicy, Mazowiecka 1.

Wiedzieć każda z kobiet szczególnie powinna, że choroba raka rozprzestrzenia się z zatrważającą szybkością i że leczenie, a z niem i wyleczenie, nie jest wykluczone. Trzeba tylko przy najlżejszych objawach zażądać natychmiast rady lekarza. Instytut Radowy im. Marji Skłodowskiej-Curie, Wawelska 15, ma przychodnię i szpital. A co najważniejsze doskonałego doktora p. Fr. Łukaszczyka, pod dyrekcją którego odbywają się wszelkie zabiegi lecznicze. Dlatego położyliśmy w tej krótkiej wzmiance nacisk na to, że kobiety szczególnie wiedzieć o tem powinny, bo, niestety, statystyka wykazuje większość kobiet, podlegających tej strasznej chorobie, od której niech Bóg strzeże!

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo zorganizowało pielgrzymkę chorych na Jasną Górę, pod kierunkiem ks. superjora Lorka, prob. par. św. Krzyża w Warszawie. Chorym towarzyszył p. dr. St. Pokrzewiński, 10 sióstr szarytek, 6 pielęgniarzy i 8 pielęgniarek. 80 chorych zupełnie ubogich otrzymało bezpłatny przejazd. Wycieczka zgromadziła 400 osób.

Oby modły chorych, składane u stóp ołtarza Matki Bożej — zostały wysłuchane!

Walne zebrania Stow. Zjednoczonych Ziemianek w dniach 8 i 9 ub. m. poprzedzone było Mszą św. za zmarłe członkinie, których pamięci serdeczne słowa poświęciła na wstępie obrad przewodnicząca p. El. Czarnowska, wyrażając też współczucie członkiniom, które straciły mężów.

Obrady rozpoczęto od omówienia sprawy Zw. „Łączności Kół Gospodyń Wiejskich", poczem przystąpiono do sprawozdań zarządu głównego i okręgów, z których na szczególne uznanie zasłużyło wzorowe sprawozdanie okręgu łódzkiego. Po dyskusji nad działalnością sekcji społecznej obradowano nad sprawą kół gospodyń, gdzie trudności finansowe hamują rozwój pracy.

Instruktorek pracuje 18 w 295 kołach. Wygłosiły one 1.648 pogadanek, przeprowadzały kursy różnego typu, jak gotowania, przetworów owoc., mięsnych, wypieku ciast, prania, kroju, szycia, hodowli. Kursów tych było 207, wzięło w nich udział 3.073 gospodynie. Zorganizowano 106 konkursów zdrowia, ogródków warzywnych i hodowli drobiu. Uczestniczek konkursów było 782. Dokonano 760 lustracji gospodarstw. Założono 291 ogródków. Sprowadzono do kół książek, nasion i t. p. za sumę 8.255 zł. Apteczek domowych założono 19, bibljoteczek 6. Zorganizowano 17 nowych przedszkoli. Wystaw i pokazów urządzono 12, wycieczek 31. Zakupiono 11.309 sztuk krzewów owoc., truskawek, żywokostu i — drobiu rasowego. Okręg kujawski wniósł projekt, by w braku fachowych instruktorek posiłkować się tą młodzieżą, która kończy szkołę we Włocławku i po odbyciu kursów higjeny i zdrowia może być pomocą dla instruktorek. Ziemianki dają takim pomocnicom mieszkanie i utrzymanie, a uczestniczki kursów wnoszą dla nich opłatę w sumie zł. 25 miesięcznie.

Na drugiem posiedzeniu omawiano sprawy Zw. „Łączności Kół Gospodyń Wiejskich", poczem wysłuchano sprawozdań, z których okręg Łódzki zdobył szczególne uznanie. Wysłuchano też sprawozdania ze zjazdu Unji Kat. w Rzymie. Sprawozdanie Kół gospodyń, mimo trudności finansowych, z któremi walczy cały kraj, dało cyfry, które niezawodnie interesują nas wszystkie. Oczywiście najgorętszą dyskusję wywołał odczytany przez p. El. Czarnowską protest przeciw szerzeniu się pornografji, zdaje się bez żadnej i niczyjej kontroli. O wspólnem wystąpieniu o pomoc w tym zakresie do odnośnych czynników rządowych, pisaliśmy w rubryce „co każda z nas wiedzieć powinna" i słusznie też Stow. Ziemianek dzwoni na alarm. Protest Ziemianek będzie dołączony do protestu międzystowarzyszeniowego i wniesiony do trzech ministerjów: Opieki Społecznej, Wyznań Religijnych i Ośw. Publicznego oraz Spraw Wewnętrznych. Nie zostanie ta paląca akcja — bez załatwienia.

Oddział Kobiet L. M. K. ostatnie zebranie ogólne, na które bardzo licznie zebrały się członkinie, poświęcił głównie omówieniu Święta Morza, spływu młodzieży i jej zjazdu w Gdyni, oraz zjazdowi Polaków z zagranicy. Wszystkie informacje referowała p. dr. Downarowiczowa. O zjeździe Polaków mówiła p. L. Kotarbińska. „O obronie wybrzeża" piękny odczyt wygłosił p. kom. Czeczott.

W zjeździe Polaków z zagranicy członkinie Oddziału na ostatniem zebraniu postanowiły wziąć liczny udział, aby grupami, gościć przybyłych we własnych domach, wybierając w zaproszeniach delegacje z poza Europy.

Polski dom — ma, właściwą tylko sobie atmosferę. Chciałybyśmy z nią zapoznać daleko od nas żyjących braci. Ani tych wielkich budowli, ani nawet wielkich cudów przyrody, ani wielkiego bogactwa — nie zobaczą w kraju. Nie zobaczą go i w naszych domach. Ale zobaczą i odczują serdeczne nasze uczucia, zobaczą wielkie wysiłki pracy dla kraju, który przez wiek cały — był bez ojca i matki i nikt o niego nie dbał, a ci, którzy dbać oń chcieli, mieli związane ręce — niewolą i wiele nazewnątrz robić nie mogli. Ale natomiast krzepiliśmy ducha i ta moc nas utrzymała. Tem, możemy się meldować przed całym światem bez wstydu. Pierwszego sierpnia zwróci się Zarząd Oddziału Kobiet L. M. K. z przypomnieniem złożonych zobowiązań.

LOSOWANIE KSIĄŻECZEK PREMJOWYCH.

Dnia 16 lipca 1934 r. odbyło się w Centrali P. K. O. w Warszawie 33-cie z rzędu losowanie książeczek na premjowane wkłady oszczędnościowe Serji I-ej.

Po zł. 1.000 — otrzymają właściciele następujących książeczek: 264, 509, 4972, 5754, 6989, 8930, 9289, 13169, 13443, 14128, 17160, 21849, 21859, 29105, 30675, 30970, 31757, 32246, 32414, 36454, 36823, 37736, 38666, 40381, 41296, 42989.

Książeczka Serji I-ej wylosowana dnia 15 stycznia 1934 r., a niezrealizowana, Nr. 4658.

Z MINIONYCH CHWIL

Kongres międzynarodowej konfederacji autorów i kompozytorów odbył się w sali Staszica, Tow. Naukowego.

Zebranie zagaił prezes Związku autorów dramatycznych, p. Wacław Grubiński Gości witał p. minister oświaty i prezydent miasta p. Kościałkowski.

Długie przemówienie wygłosił przewodniczący kongresu p. Charles Meré, mówiąc o radości, jaka go przenika z tego powodu, że kongres odbywa się właśnie w stolicy Polski, ojczyzny Cnopina, Wyspiańskiego, Moniuszki, Mickiewicza, Słowackiego. Podczas dni, przeznaczonych na obrady, uczestnicy jeden zużyli na wycieczkę do Białowieży. Rezerwat puszczy, osiedle żubrów, jeziora i cudne, stare drzewa dokoła — opłaciły niezawodnie zmęczenie — podróżnym.

„Dar Pomorza" po ośmiomiesięcznej podróży wrócił do Gdyni. Szkolny statek miał na swym pokładzie prof. W. Roszkowskiego, dyrektora państwowego muzeum zoologicznego w Warszawie, który osiągnął cel podróży, przywożąc z Ameryki Południowej, prócz okazów żywych, liczne zbiory: bezkręgowców, motyli i chrząszczy.

Zlot harcerzy doroczny odbył się, zaczęty Mszą św. w kościele św. Krzyża, bardzo uroczyście.

Uczestnicy w liczbie 700 w barwnych ubraniach przemaszerowali do parku Sobieskiego, gdzie odbyły się pokazy: wielki obraz terenowy „Morze", „Bitwa pod Grunwaldem", „Chrzest Pomorza", „Flota króla Władysława XVII".

Pokazy odbyły się w barwach historycznych. Zabawa podniosła, świadcząca o tchnieniu, jakie panuje wśród naszego pięknego harcerstwa.

Okręg Warszawski L. M. K. zwołał zebranie, które odbyło się przy pełnej sali Rady st. m. Warszawy. Zebranie poświęcone było omówieniu zbiórki na Fundusz Obrony Morza.

Prezes okręgu, b. minister p. A. Kamieński, zagaił zebranie dłuższem omówieniem znaczenia morza dla państwa. Referat „O sile zbrojnej na morzu" wygłosił komandor por. Karol Korytowski. Skolei przemówienia wygłosili: rektor Politechniki, prof. E. Warchałowski, prof. Uniw. Warsz. dr. Tadeusz Zieliński, prezeska Oddziału Kobiet L. M. K. p. L. Kotarbińska, sekretarz jen. Unji Zw. Zawodowych Prac. Um. p. W. Kościński i prezes Akad. Zw. Mors. p. Jan Grzywaczewski. Na zakończenie przyjęto rezolucję, która opiewa, że wszyscy zebrani, uznając, że siła zbrojna na morzu jest jedną z zasadniczych podstaw zachowania niepodległości — stwierdzają, że stworzenie tej siły jest nakazem chwili i obowiązkiem całego narodu — na co zebrani ślubują użyć wszystkich starań, aby zbiórka na Fundusz Obrony Morza dała pomyślne rezultaty. — Tak nam dopomóż Bóg!

J. Em. Ks. Kardynał Kakowski dokonał poświęcenia gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego. Oby się w nim zawsze jak najlepiej działo!

KĄCIK DLA DZIECI

MARCIN WADOWITA (1567—1641).

Zachodziło już słonko nad murami Krakowa, ruch na drogach podmiejskich już słabnął. Jeszcze spóźnieni pastuchy zapędzali bydło z błoń rozległych, śpieszył podróżny zapóźniony, by przed bram zamknięciem zdążyć do miasta, wóz zaturkotał lub konny jeździec przeleciał. Gromada żaków wracała szybkim krokiem z zamiejskiej wycieczki z wesołą piosenką na ustach, gdy nagle jeden z nich zatrzymał się przed dziwaczną postacią na skraju drogi siedzącą. Wyrostek to był krzepki, w zakurzoną i obszarpaną płótniankę odziany, na przydrożnym kamieniu przysiadłszy, obie ręce we włosy wpakował i szarpiąc bujną czuprynę, z cicha pojękiwał. Żak za ramię go ujął i mocno potrząsnął: — A cóż ci to, istoto ludzka, za boleść sroga się nagodziła, że tak bez litości czuprynę targasz, folgę uczuciom żałosnym dając? — ze śmiechem zapytał. Zerwał się chłopak na równe nogi, spojrzał przerażony i rozmówcę swego pod kolana ująwszy, zajęczał: — Dobrodzieju łaskawy, ratujże mnie, bo nie wiem, gdzie się obrócić! — Nadął się żak, okrutnie rad, że go „dobrodziejem" tytułują, a pod bok się wziąwszy, zapyta: — A któżeś ty i skąd, pachołku? — Marcin jestem, z Wadowic. — Aha! z Wadowic! A czegóż ty Wadowito pod Krakowem szukasz? — To ja aż pod Kraków zaszedłem? — zadziwił się wyrostek — chyżo mnie nogi zaniesły, ale co ja pocznę z sobą!... — Ano, na rozum mój — żak odpowie — skoroś ino przypadkiem pod Gród Wawelski dotarł, to wracajże spowrotem do Wadowic, Marcinie Wadowito. — Zatrząsł się chłopak: — Oj! Nie wracać mi tam, dobrodzieju! Tatuloby mnie ubili, boć przecie najpiękniejszego wieprza z trzody, com ją pasał, wilk porwał, a moja to wina była... — A cóżeś ty, Wadowito, czynił, miast trzody ojca twego pilnować? — pytał żak dalej. — Ah! Dobrodzieju mój, czytać się uczyłem. Raz klecha wędrowny litery mi pokazał i składać nauczył i od tego czasu taka mnie pasja wzięła, żem ino te znaki kreślił i gdziem mógł czytania się dorywał. Ale tatulo złem okiem na to patrzyli i nierazem za tę naukę dobrze oberwał. — Takto się uczyć pragniesz? — zapytał żak i zwracając się do kolegów: — No i co sądzicie, niechby ten Wadowita żakiem został! — Pewnie, pewnie — wrzaskliwie przytaknęli koledzy. Poklepał więc łaskawie Marcina po ramieniu: — Skoro tak naukę miłujesz — to chodźże z nami, żakiem zostań, a może kiedyś, przykładając się ku sciencjom, wszelakim profesorem Almae Matris naszej zostaniesz — zakończył ku radości wesołej gromadki, która, wykrzykując: „Niż pasienie wieprzy — żywot żaka lepszy"! — otoczyła chłopaka i pociągnęła z sobą ku miastu.

I został Wadowita żakiem. Uczył się pilnie, kąt do spania miał u bakałarza za posługę wszelaką, z garnuszkiem po mieszczańskich domach biegał, upraszając żywności i tak mijały lata. Ukończył nauki, został bakałarzem, przyjął potem święcenia kapłańskie. Sława jego uczoności rosła. Do Rzymu jeździł, gdzie sam Ojciec święty z nim łaskawie rozprawiać raczył. Poważny, światły, dobroczynny, pogodnego był usposobienia, i gdy wreszcie rektorem Akademji Krakowskiej został, tej Almae Matris Jagiellonicae, do której jako żaczek ubogi uczęszczał i gdy mu, odzianemu w strój wspaniały, jako swemu rektorowi hołd należny profesorowie i uczeni składali, ci sami, co kiedyś niejednokrotnie wypominali mu jego pochodzenie uśmiechając się pogodnie, ujął w rękę kraj aksamitnego płaszcza i powiedział:

„Dziękuję ci aksamicie —
Kłaniają się Wadowicie!"

H. Rostafińska-Choynowska.

ZABAWA.

— Gdzież to Stacho jedzie na wronym koniku? —
— Objechałem krajów, bez liku... bez liku... —
— Cóż tam panna siostra na kuchence warzy,
I wśród lalek grona skrzętnie gospodarzy? —
— Gotuję na obiad coś bardzo dobrego! —
— Może poczęstujesz także podróżnego? —
— Do domu polskiego gościa Bóg prowadzi, —
Bardzo waćpanowi będziemy tu radzi —
Konika na trawkę puści pan dobrodziej,
Jagodami z mleczkiem może się ochłodzi? —
— Dzięki za częstunek, grzecznej pannie Joli!
A może z lalkami waćpanna pozwoli
Na grzbiecie pohasać konika wronego? —
— Dziękuję waćpanu, o jam nie od tego! —
Jadą na koniku Stacho, lalki, Jola,
Kędy własnej bajki prowadzi ich wola.

H. R. Ch.

PRZYŚPIEWEK

Ej! Dożynki, dożyneczki!
Ej! Wykrzeszę w podkóweczki!
Pracował człek w czoła pocie,
Teraz odda się ochocie.
Jak robota, to robota,
Jak ochota, to ochota.
Doczekaliśmy się plonu
Złote kłosy mamy w domu —
Wszakże to na święty Jacek
Już z nowej pszenicy placek.
A więc dalej, dalej w koło,
Zabawimy się wesoło —
Nim do pracy znów staniemy
Oziminę siać będziemy.

H. R. Ch.

SZUMI MORZE

Zachodzi słoneczko,
Szumi sine morze,
Na piasku złocistym
Cicho się położę.

Małe fale biegną,
Każda mi coś szumi —
Kto kocha swe morze,
Sercem je zrozumie.

O tem polskiem morzu
Piosnki mruczą fale,
O pradawnej sławie
I o przyszłej chwale.

H. R. Ch.

Wydawcy: Stowarzyszenie Mis. Księży Pallotynów. **Redaktor: Józef Czarnecki.**
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

TRZECI KONKURS KWARTALNY

(Ciąg dalszy)

Termin nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy, licząc od daty otrzymania numeru.

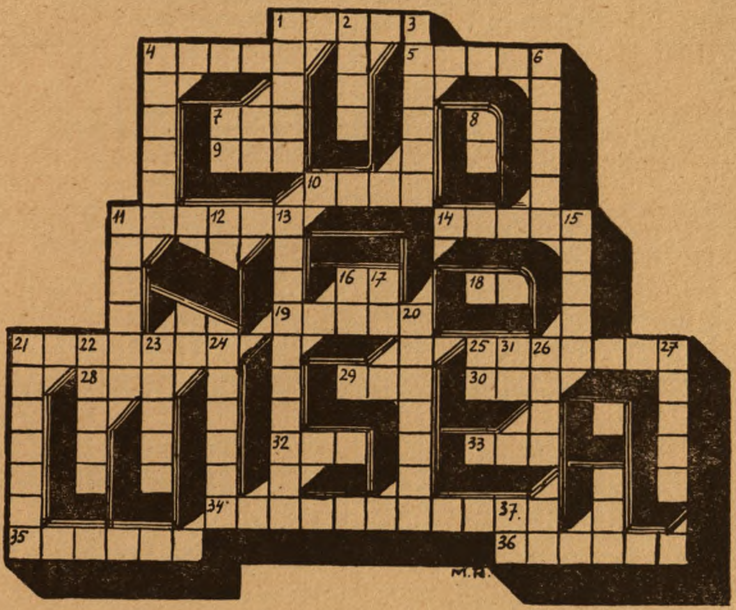
7. BOHATEROM CZEŚĆ!

(Szarada — 5 pkt.)

Siódma-szósta wszechwładna
panuje dziś w świecie
na wyczyny sportowe
i na bohaterstwa.
I choć kryzys potężny
świat w kleszczach swych gniecie,
nie została zerwana
w świecie nić braterstwa
wśród pionierów postępu.
Dwa-dziesiąte nowe
porywają wciąż świeże
zastępy sokołów:
Ten zdobył stratosferę,
ów morza lodowe,
tamten znów się zapuścił
w głąb morską na połów...
Dziś **dziesięć-jedenasta**
polskiego imienia
na obydwu półkulach
rozbrzmiewa dokoła!...
Oto Adamowicze
bez obawy cienia
ósmym-czwartym powietrznym
mężnie stawią czoła.
Hej! ku **pierwszym i czwartym**,
tam na polskiej ziemi
we mgle rannej szumiącym,
stalowy ptak leci!...
Ach! już blisko!... już widać,
jak skrzydłami swemi
pruje polskie powietrze!...
Jakąż radość nieci
W naszych sercach, umysłach,
widok niecodzienny!...
Jakże **dziesięć i osiem**
ten wyczyn wspaniały
imię Polski wśród ludów!...
Jest to czyn zbawienny
w tym wyścigu narodów
do kuszącej chwały.
O-dziewiątym i uszom
wprost wierzyć się nie chce,
że laicy zdobyli
dziś ogrom przestworza...
I dlatego tem większa
duma pierś nam łechce, ?
iż i my już za sobą
mamy wielkie morza!
Trzecie słowa, nie sądzę,
by przesadą były,
raz dziś naród ten wielki,
który ma swą sławę, —
pięć w narodzie ten sławny,
który swoje siły
ofiarował ludzkości,
i wiedzę na strawę.
Więc jak wiele korzyści
sześć Polsce ten wyczyn,
tu **siódma-jedenasta**
żadna nie wypowie,
niech się więc razem ze mną
kraj cały rozkrzyczy:
,,wiwat! Niech żyją bracia
Adamowiczowie!

A. Mieczkowski czł. Kl. Sz.

8. KRZYŻÓWKA (5 pkt.)



Wyrazy poziome: 1. Zwierzę morskie, jamochłonne. 4. Stolica Litwy. 5. Reskrypt. 7. Odłam lodu. 9. Dopływ Wisły. 10. Kierownictwo. 11. Kołczan z łukiem i strzałą. 14. Młody góral. 16. Rzeka w Syberji. 18. Zaimek osob. 19. Szacują wspak. 21. Uroczyste odprawianie obrzędu kośc. 25. Beczułka. 28. Karta świętna. 29. Imię cyganki. 30. Papuga. 32. Trucizna. 33. Marzenia. 34. Święto Polski, obchodzone 15. VIII. 35. Praca. 36. Kazalnica. — Wyrazy pionowe: 1. Święta księga mahom. 2. Przysięga. 3. Czytelnik. 4. Szynk. 6. Urzęd. spis cen. 7. Skrót godności kapł. 8. Ukłon dziecinny. 11. Tajemnica. 12. Ofiaruje. 13. Chciwie czytający książki. 15. Rolety. 16. Zaimek osob. 17. Wykrzyknik obrzydz. 20. Miasto na Ukrainie. 21. Binokle. 22. Gra w karty. 23. Gwałtowny wicher. 24. Autor szt. ,,Kościuszko pod Racławicami". 25. Symbol baru. 26. Oprawy do obrazów. 27. Plakat. 31. Miara powierzchni. 37. Inaczej moją wspak.

Jako rozwiązanie podać można tylko określenie pod 34 poziomo (bez wyrazów krzyżówki).

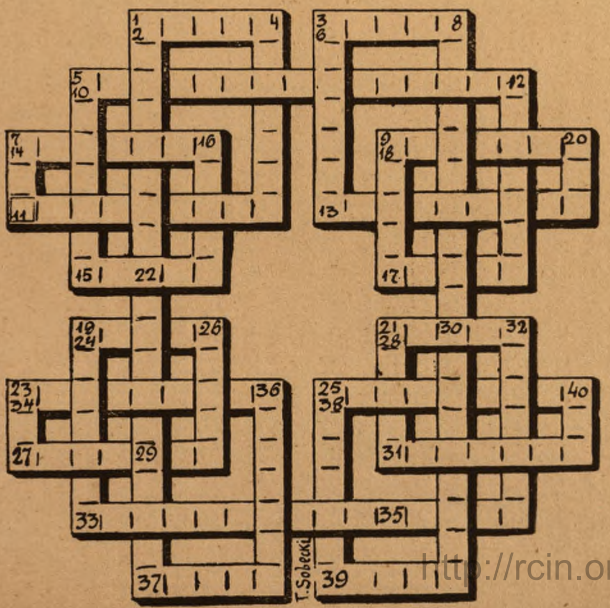
M. Rossa Tczew.

SZARADZIŚCI!
POPULARYZUJCIE
„RODZINĘ POLSKĄ"!

ULUBIONĄ ROZRYWKĄ

dla szaradzistów są ciekawe zadania w ,,ROZRYWCE". Numer 8 (20) już opuścił prasę. Prenumerata kwartalna **tylko 2 zł.** Konto PKO nr. 2048. Adres: Klub Szaradzistów, Warszawa, Żórawia 45 m. 10. Pojedyńcze numery do nabycia w kioskach ,,Ruchu". Żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!

9. KRZYŻÓWKA (6 pkt.)



Po prawidłowem rozwiązaniu krzyżówki, poszczególne litery na wszystkich zewnętrznych narożnych polach (początek od pola obramowanego, ku górze), dadzą właściwe rozwiązanie, które podać można bez wyrazów krzyżówki.

Znaczenie wyrazów:

Poziome nieparzyste: 1. Ptaki leśne wspak. 3. Stromy brzeg wzgórza (o-ó). 5. Tytuł powieści Makuszyńskiego. 7. Salonik po francusku wspak. 9. Jagoda leśna jadalna. 11. Władza stacyj klimatycznych. 13. Nadsłupie (archit.) 15. Składnik powietrza wspak (n-ń). 17. Łóżko na okręcie. 19. Ptak brodzący. 21. Ptak wróblowaty. 23 Rzeczywisty. 25. Rodz. mięsa. 27. Góry w Europie. 29. Marzenia. 31. Pieski ziemne (skrzeczki) wspak. 33. Miasto angielskie w hr. Warwick. 35 Zwierzęta o-cennem futrze. 37. Doza. 39. Płyn do picia. — Pionowe parzyste: 2. Grymaśny wspak. 4. Niepotrzebna. 6. Piękna niewolnica na Wschodzie. 8. Linja pogrążania się statków. 10. Jastruń (rośl. ozd.). 12. Jaskinia (jama). 14. Okres czasu. 16. Podpora (bal rozpierający). 18. Trzewik. 20. Dopływ Wisły wspak. 22. Miasto w stanie Nebraska. 24. Osada polska k. Konstantynopola, założona w roku 1835 przez ks. Adama Czartoryskiego. 26. Ptaki afrykańskie. 28. Sidła rybackie. 30. Zapaśnictwo z 5 walk. 32. Bratobójczy. 34. Imię żeńskie. 36. Konie angielskie wspak. 38. Miasto portowe w Australji fonet. 40. Czcigodna wspak.

T. Sobecki Poznań.

ZE ŚWIATA RADJA

Nowe urządzenia techniczne w Polskiem Radjo.

Do Warszawy przybyła niedawno z Londynu specjalna aparatura do zapisywania dźwięków na taśmie stalowej. Urządzenie to, którego brak w pracy programowej Polskiego Radja dawał się odczuwać, pozwoli na utrwalenie audycyj radjowych w ten sposób, że będzie je można później w dowolnym czasie reprodukować.

Wartość radja nie zależy bowiem tylko od programów, ale często w bardzo silnym stopniu od doskonałości urządzeń technicznych. Każda radjofonja, a specjalnie polska, nie zważając na olbrzymie koszty, związane z instalacją nowoczesnych urządzeń technicznych, stara się, aby dotrzymać kroku postępowi wynalazków i aby w ten sposób zapewnić słuchaczom coraz lepszą transmisję audycyj.

W pracy „Polskiego Radja" nowa aparatura, zdobycz wielu lat żmudnej pracy w laboratorjach Marconi'ego, mieć będzie zasadnicze znaczenie. Umożliwi ona usprawnienie działalności programowej w bardzo wysokim stopniu, dzięki swej wszechstronności i nieograniczonych wprost możliwościach praktycznych.

Trudno byłoby opisać wygląd tego skomplikowanego mechanizmu. Składa się on właściwie z dwu części, z których jedna zmontowana jest na specjalnym stole, druga zaś stanowi jakby wysoką szafę na żelaznych stalugach.

Część zmontowana na stole jest mózgiem aparatu. Na kliszy tego mózgu, którą stanowi taśma stalowa, zapisuje się audycje przy pomocy całego zespołu elektromagnesów.

Drgania tych elektromagnesów powodują w taśmie niewidoczne dla oka zmiany, które później umożliwiają wierne odtwarzanie audycyj. To samo urządzenie wymazuje zapisaną już raz audycję, jak gąbka kredę z tablicy.

Ściślej można powiedzieć, że nowy aparat „Polskiego Radja" składa się z pięciu zasadniczych urządzeń: 1) rotacyjnego, które służy do przesuwania taśmy między polami elektromagnesów w kierunku: „naprzód" i „wtył" Taśma stalowa szerokości około centymetra jest niesłychanie cieniutka — „grubość" jej równa się zaledwie 1/40 milimetra. Patrząc na nią z profilu, dostrzega się zaledwie nitkową smugę. Taśma obraca się na dwóch talerzach aluminjowych; 2) zespołu elektromagnesów, wyglądających jakby miniaturowe harmonijki wielkości pudełka zapałek. Tych harmonijek jest 10, biegnących parami pionowo ponad talerzami aluminjowemi. Służą one do zapisywania, odtwarzania i zmazywania dźwięków, utrwalonych na taśmie; 3) odpowiedników zespołów wzmacniakowych niskiej częstotliwości do nagrywania i reprodukcyj oraz t. zw. programmetra, który służy dla kontroli dynamiki, zapisywania, względnie odtwarzania dźwięków; 4) urządzeń dla elektrycznego **ścierania** zapisanych dźwięków i 5) „elektrowni", t. j. źródła prądów, potrzebnych dla wzbudzenia urządzeń wzmacniakowych. Są to dynamo maszyny o sile 6 HP.

Tak w opisie pobieżnym wygląda pierwsza i główna część aparatury. W części drugiej, na owej szafie-tablicy rozdzielczej, zainstalowany jest zespół wzmacniakowy i pomiarowy.

Wpozostałej, części trzeciej, znajduje się źródło prądów do zasilania dwóch pierwszych części całej aparatury, t. j. stołu rotacyjnego i szafy-rozdzielnika. W tej trzeciej części mechanizmu dwa motory dynamiczne przetwarzają prąd zmienny, otrzymywany z elektrowni miejskiej na odpowiednie napięcia prądu stałego dla zasilenia anodowego i katodowego lamp radjowych, jak również dla elektromagnesów, zapisujących lub ścierających uderzenia fali głosowej na taśmie stalowej.

Mając teraz utrwalony śpiew, muzykę, przemówienie, słuchowisko dramatyczne lub przebieg jakiegoś wydarzenia, będziemy mogli, jak w dźwiękowcu filmowym, odtwarzać daną audycję w każdym czasie i z tą samą ścisłością, co w oryginale. Aparatura Stilla będzie miała pozatem inne jeszcze znaczenie — dokumentalne i pedagogiczne. Słowo żywe, dzięki niej utrwalone, w odtworzeniu, usunie wszelkie wątpliwości, powstałe w niedoskonałej pamięci ludzkiej. Dla artystów takie odtworzenie będzie miało wagę niesłychaną, gdyż tylko w ten sposób wykonawcy, zwłaszcza w dramacie, będą mogli słyszeć siebie w przebiegu gry i ocenić krytycznie.

Prawo, zdrowie i rozrywki.

Jeżeli odczytami kuchennemi interesują się panowie-smakosze, to i panie często garną się do t. zw. tematów męskich. Stwierdzono np., że powodzenie mają również popularne wykłady z zakresu ustawodawstwa, przepisów porządkowych, o ubezpieczeniach społecznych, o prawach i obowiązkach pracodawcy i pracownika i t. p.

Jednakże, drugie co do popularności miejsce, zajmują odczyty z dziedziny higjeny matki i dziecka i lecznictwa domowego. Sporo miejsc poświęca się również rozrywkom dziecięcym.

Dość wyodrębniony dział i bardzo interesujący matki, to porady praktyczne o doborze i przygotowaniu mleka, pokarmów i potraw mlecznych, o sposobie czynienia zakupów, zwłaszcza artykułów spożywczych, czyszczeniu ich i przechowywaniu.

Panie austrjackie najchętniej zasięgają z radja porad kosmetycznych. Korespondencja w tych sprawach skierowana jest tak samo bezimienna, jak bezimienne pozostają autorki porad, zresztą, w sprawach większej wagi, powołujące się na autorytety lekarskie i naukowe. Do tego działu należą również porady z zakresu wychowania fizycznego, bardzo chętnie słuchane z tamtej strony mikrofonu. Tak samo wielką popularnością cieszą się rady praktyczne o oszczędnej gospodarce. Dodajmy jeszcze, że w odczytach dla kobiet podawane są także wskazówki z działu robótek ręcznych, urządzenia domu i wychowania towarzyskiego.

Trudności zegarów holenderskich

Radjofonja holenderska musi zwalczać dużo trudności w związku z różnicą czasu, gdyż czas holenderski różni się o 40 minut czasu od środkowo-europejskiego i o 20 minut z Greenwich. Ostatnio holenderskie ministerstwo spraw wewnętrznych złożyło wniosek w parlamencie, proponujący wprowadzenie w całej Holandji czasu według Greenwich, przez co ułatwi się pracę tak radjofonji, jak i przedsiębiorstwom komunikacyjnym.

Zapomniane miasta i miasteczka

Zasada ujmowania odczytów radjowych w pewne cykle, która przeprowadzona została w letnim programie Polskiego Radja, pozwoliła na rozwinięcie całego szeregu nowych pomysłów i na przeprowadzenie ich w praktyce. Jednym z nich jest cykl krótkich dziesięciominutowych pogadanek monograficznych o małych miastach i miasteczkach Polski. Te zapomniane miejscowości, których nazwy ledwo dziś pamięta człowiek współczesny, mają często piękną i bogatą przeszłość zachowaną w zabytkach architektonicznych. Nietylko przeszłość zresztą będzie tematem tych pogadanek. Od starego kościoła np. i ruin zamku aż po nowoczesną szkołę, fabrykę, czy dom ludowy, od postaci historycznych związanych z tą miejscowością, aż po poczynania współczesnych organizacyj społecznych — wszystko to znajdzie swe uwzględnienie w tych błyskawicznych niemal monografjach radjowych. Radjo, wkraczając na drogę regjonalizmu w swych programach odczytowych, spełnia nietylko swój dług wobec słuchaczy tych miejscowości ale również pobudza szerokie warstwy do wzajemnego cenienia swych odrębności i przyczynia się do zacierania różnic dzielnicowych, realizując zasadę: — przez poznanie do umiłowania.

Polacy z zagranicy do swoich bliskich

W związku ze Zjazdem Polaków z Zagranicy, który rozpoczyna się w pierwszych dniach sierpnia, „Polskie Radjo" transmitować będzie szereg uroczystości z tego Zjazdu tak w Warszawie, jak i w innych miastach Polski. Pozatem jednak „Polskie Radjo" wprowadza bardzo ciekawą inowację, oddając mikrofon na usługi Polaków z zagranicy. Oto w dniach od 1 do 9 sierpnia o godz. 23.05 do 23.10, przemawiać będą przed mikrofonem rozgłośni warszawskiej Polacy z zagranicy do swoich bliskich, przebywających w ośrodkach emigracji polskiej w różnych krajach europejskich. Codziennie w ciągu 5-ciu minut przemówi cztery osoby, dzieląc się wrażeniami z Ojczyzny ze swoimi najbliższymi, którym nie danem było uczestniczyć w Zjeździe. Pozatem w dniach od 9 do 13-go sierpnia takie same audycje nadane zostaną z rozgłośni lwowskiej, katowickiej, krakowskiej i poznańskiej.

Cuda Amerykańskiego Olbrzyma

Jak już donosiliśmy w Ameryce wybudowano 500 kilowatową stację nadawczą, która rozpoczęła już swą działalność. Energja elektryczna którą zużywa stacja wystarczyłaby do oświetlenia miasta o 150.000 mieszkańców. Na stacji nadawczej zainstalowano 12-cie stukilowatowych lamp katodowych, pozatem czynnych jest innych 80 lamp różnych typów i wielkości.